

ŁUKASZ GORCZYCA

KRZYSZTOF GAWRONKIEWICZ

Bańwan w Łódźce





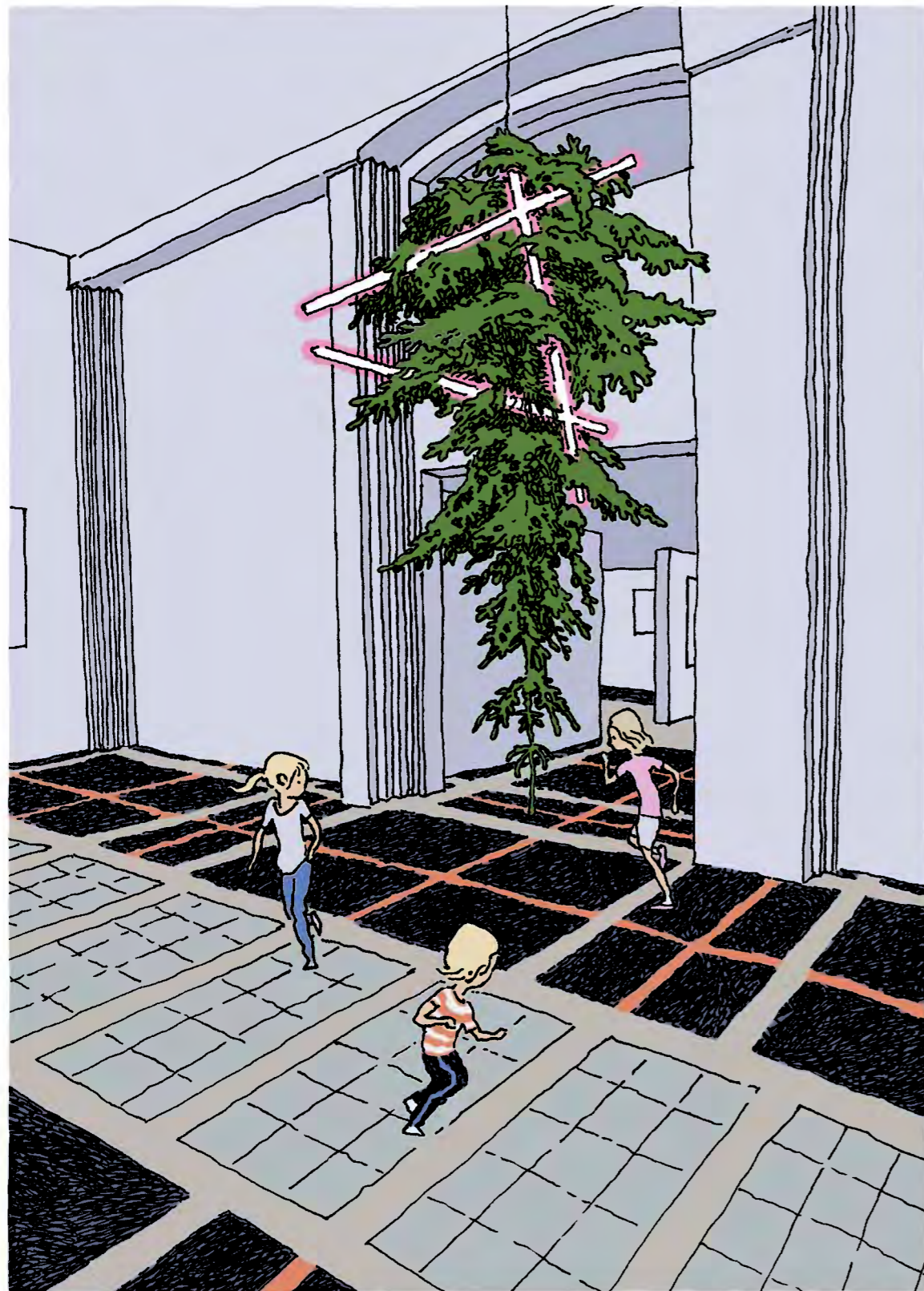
Bańwan w Łódźce

NAPISAŁ
ŁUKASZ GORCZYCA

ZILUSTROWAŁ
KRZYSZTOF GAWRONKIEWICZ



FUNDACJA SZTUKI POLSKIEJ ING
WARSZAWA 2017



Do góry nogami

Nasz tata pracuje w galerii. To taka galeria, w której są obrazy, rzeźby, zdjęcia i inne ciekawe rzeczy. Czasem chodzimy tam z rodzicami — ja, Matyllda, i mój młodszy brat Bartek. Dzięki temu, że tata pracuje w galerii, rodzice mają dużo znajomych artystów. My też ich znamy. Niektórzy z nich mają dzieci, z którymi się bawimy. Rysujemy razem albo ganiamy się po galerii, bo jest w niej mnóstwo miejsca.

Za każdym razem jest tam inna wystawa i coś innego do oglądania. Raz były nawet grające rzeźby, które wydawały dźwięki, kiedy zbliżało się jedną do drugiej. Leżały na dużych białych stołach i można je było samemu podnosić, a nawet pocierać jedną o drugą. Piszczwały wtedy śmiesznie i burczały. Były drewniane, ale tata powiedział, że w środku mają ukryte małe mózgi i dlatego tak hałasują. W galerii często różne rzeczy są ukryte.

Trzeba się uważnie przyglądać obrazom, rzeźbom i fotografiom, wtedy można w nich odkryć dużo ciekawych historii. W naszym domu też są obrazy, ale najbardziej podoba nam się portret mamy, który wisi w naszym pokoju. Rodzice mówią, że nie wszystkie obrazy są odpowiednie dla dzieci i dlatego niektóre są schowane. Na przykład w dużym pokoju wisi na ścianie wielki dywan, ale pod nim ukryty jest obraz — naprawdę straszny! Jest na nim namalowany zgniły burak i nie wiadomo, co jeszcze, bo rodzice nie pozwalają nam zaglądać pod ten dywan.

Tata mówi, że jeśli artystę coś zdenerwuje, może wtedy namalować straszne rzeczy, na przykład taki straszny obraz jak ten pod dywanem.

Nasi rodzice też się czasem denerwują. Ostatnio — kiedy pokłóciliśmy się z Bartkiem o kredki. Bo Bartek zabrał mi moją ulubioną srebrną kredkę.

— Znowu stajecie na głowie?! — zapytała groźnie mama, chociaż wcale nie staliśmy na głowie. — Chodźcie, idziemy na spacer się uspokoić.

— Może pójdziemy do muzeum? — zaproponował tata.

— Do muzeum? O nie, tam są same obrazy! — zawołał Bartek.

— Same obrazy — powtórzyła mama. — To przecież świetnie, będzie co oglądać! Ubierajcie się, wychodzimy!

To nieprawda, że w muzeum są same obrazy, Bartek chyba nie pamięta. Byliśmy już w różnych muzeach z rodzicami, na przykład w muzeum dinozaurów albo w pałacu przerobionym na muzeum, w którym można oglądać różne stare pokoje i meble. W każdym muzeum można znaleźć coś ciekawego, na przykład łóżko, w którym spała kiedyś królowa, albo prawdziwą kość wieloryba. Tym razem stanęliśmy w wielkiej sali



z obrazami — wszystkie były duże i bardzo kolorowe. I do tego ktoś je dziwnie powiesił.

— Tato — zapytałam — dlaczego te obrazy wiszą do góry nogami?

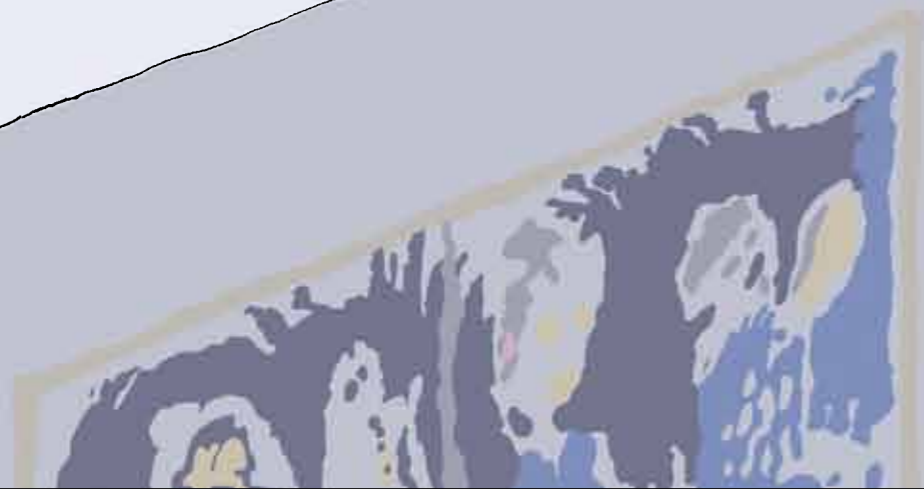
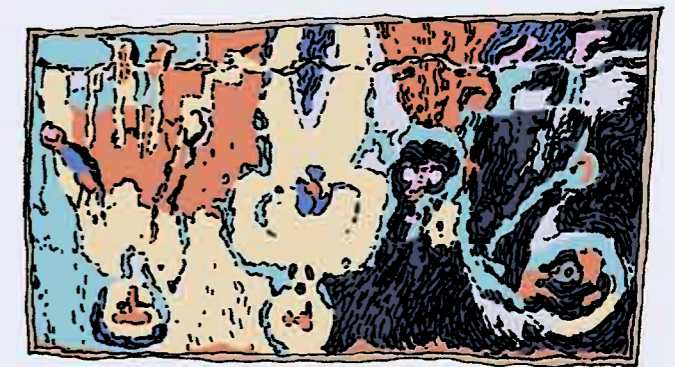
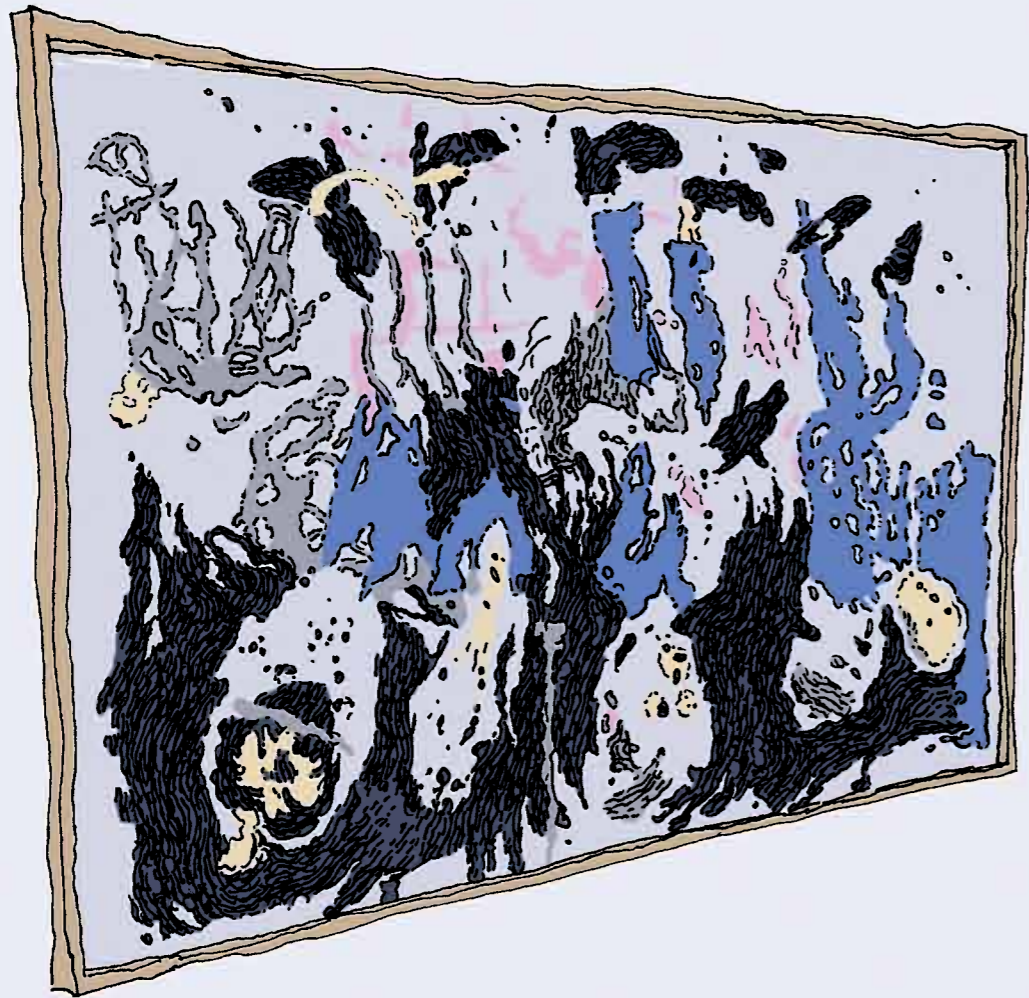
— Wiszą do góry nogami? — zdziwił się tata. — Dlaczego tak myślisz?

— No przecież widzisz, wszyscy ludzie na tych obrazach są do góry nogami!

Tata podprowadził nas bliżej obrazu, na którym do góry nogami siedziała jakaś pani.

— Zobaczcie — pokazał palcem farbę u dołu — farba spływa tu z góry na dół. Widzicie te zacieki? Czyli obrazy wcale nie wiszą do góry nogami, zostały tak namalowane.

— Ale dlaczego ktoś namalował tę panią do góry nogami? Dlaczego ona siedzi na głowie?



— A czy wy nie stajecie czasem na głowie? Myślę, że jest mnóstwo powodów, dla których robi się różne rzeczy do góry nogami. Do góry nogami, czyli na odwrót. Artyści szczególnie się tym interesują.

— Interesują się, jak robić rzeczy na odwrót? — zdziwiłam się.

— Tak, czasem warto zrobić coś do góry nogami — odpowiedział tata.

— Dlaczego warto?

— Żeby zobaczyć, jak coś wygląda do góry nogami, albo żeby zaprotestować.

— Zaprotestować?

— Tak, jeśli uważamy, że coś nie jest tak, jak powinno być, i trzeba to zmienić — wyjaśnił tata.

— Żeby to naprawić? — domyśliłam się.

— Tak, żeby naprawić coś, co źle działa lub źle wygląda.

— I wystarczy to obrócić do góry nogami?

— Ha... — tata się zamyślił. — Chyba nie wystarczy, ale czasem bardzo pomaga. Ten malarz postanowił malować obrazy do góry nogami, żeby ludzie przyglądali się uważnie obrazom. Nie tylko temu, co jest namalowane, ale i temu, jak jest namalowane...

— Do góry nogami i na głowie! — wykrzyknął Bartek.

Całą drogę do domu rozmawialiśmy o tych obrazach. Skąd ten malarz wiedział, że my też czasem stajemy na głowie? Czy wszystko da się namalować do góry nogami? I co jeszcze można zrobić na odwrót?

A w domu był obiad. Kiedy usiedliśmy do stołu, okazało się, że dziś zupa ogórkowa. Razem z Bartkiem, bez namawiania się,



zanim jeszcze mama naląła zupę, odwróciliśmy nasze talerze do góry nogami.

— Nie chcę zupy ogórkowej! — powiedziałam.

— Nie chcę zupy ogórkowej! — powiedział Bartek, który zawsze po mnie powtarza.

— A co to za protesty? — zdziwił się tata.

— Dzieci od rana stają na głowie — powiedziała mama. Naląła sobie zupę i zaczęła jeść.

— Jaka pyszna ta zupa, jesteś artystą ogórkowej, mężu!

— To my jesteśmy artystami! — zawołałam i uderzyłam łyżką w odwrócony talerz.

— To my jesteśmy artystami! — zawołał Bartek.

— Od kiedy artyści nie jedzą zupy ogórkowej? — zdziwił się znowu tata. — Nie jesteście głodni?

Po wycieczce do muzeum byliśmy bardzo głodni. Ale obiad wcale nie wyglądał tak, jak powinien, więc postanowiliśmy odwrócić go do góry nogami.

— Co jest nie tak? — dopytywała się mama.

— Artyści jedzą zupę pomidorową — powiedziałam, a Bartek powtórzył zaraz po mnie: — Artyści jedzą zupę pomidorową!

Mama uśmiechnęła się i powiedziała:

— No proszę, a ja myślałam, że jest dokładnie na odwrót!

A potem okazało się, że ta ogórkowa wcale nie była taka zła.



Malarz, który zasłynął z malowania obrazów do góry nogami, to **GEORG BASELITZ**. Dziś jest on jednym z najbardziej znanych niemieckich artystów. Maluje, rzeźbi i robi grafiki. Jego obrazy można łatwo rozpoznać nie tylko dlatego, że świat stoi w nich na głowie. Baselitz maluje szybko i z wielką energią, a oprócz pędzli często używa własnych palców. Malowanie to dla niego czynność pełna emocji, a te emocje są nawet ważniejsze od tematów, które maluje. Dlatego czasem trudno zgadnąć, co tak naprawdę jest namalowane na obrazach, ale za to łatwo poznać, że malował je Baselitz.



Film, który można oglądać wszędzie

Rodzice mówią, że niezdrowo jest oglądać dużo filmów. Dlatego w sobotę możemy obejrzeć tylko dwa. Jeden mogę wybrać ja, a jeden — Bartek. Ale filmy są tak ciekawe, że kiedy już obejrzymy dwa, to bardzo chcemy obejrzeć jeszcze jeden. A potem jeszcze jeden i...

— Tato, czy możemy obejrzeć jeszcze jeden odcinek?

Bardzo prosimy!

— Słuchajcie, jest piękna pogoda — odpowiada wtedy tata i wyłącza tablet. — Chodźmy na spacer!

My wtedy krzyczymy:

— Nie! Nie na spacer! My chcemy obejrzeć film!

Dzisiaj tata uśmiechnął się dziwnie i powiedział:

— Obejrzymy film na spacerze. To będzie specjalny spacer.

— Świetnie! — od razu ucieszył się Bartek.

Ja też się ucieszyłam. Byłam bardzo ciekawa, jak na spacerze można oglądać filmy. Ubraliśmy się, ale kiedy byliśmy już w drzwiach, zauważyłam, że tata o czymś zapomniał.

— Tato, nie wzięłaś tabletu!

— Tabletu? — zdziwił się tata.

— Przecież mamy oglądać filmy na spacerze!

— A, oczywiście! Nic się nie martwicie, będą filmy. Ale tablet nie będzie potrzebny.

— To jak będziemy je oglądać? — zapytałam jeszcze bardziej zaciekawiona.

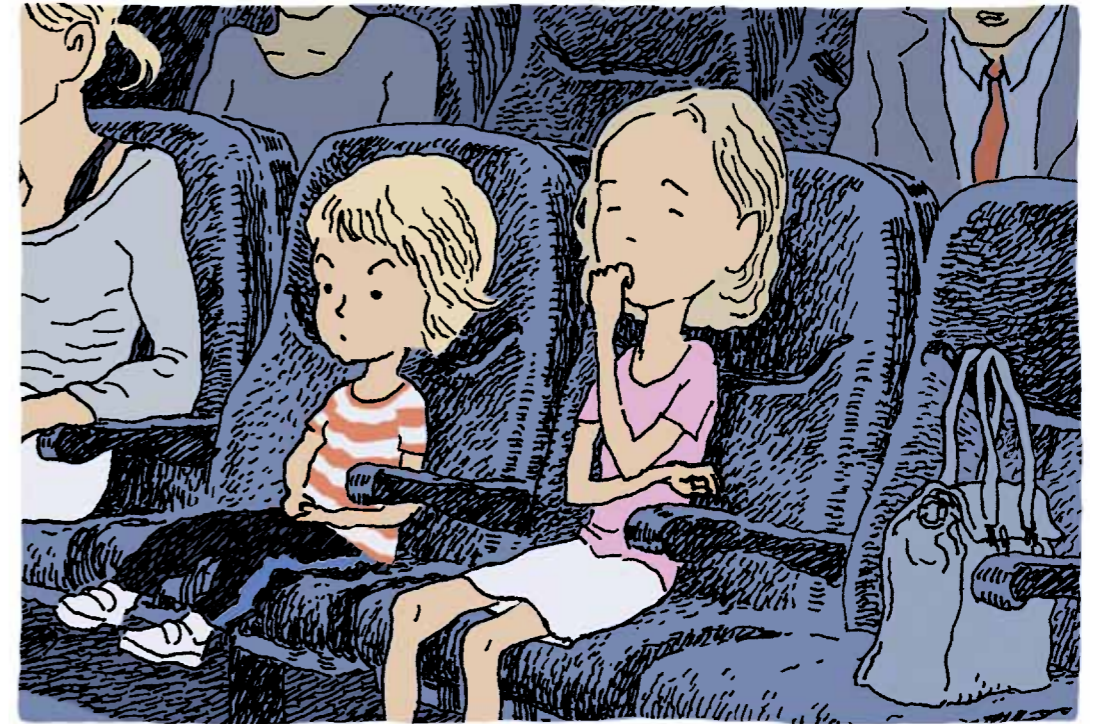
— Zobaczycie, zobaczycie — powiedział tata i zamknął drzwi od mieszkania.

Poszliśmy inną drogą niż zwykle. Minęliśmy nasz ulubiony park z placem zabaw i skręciliśmy w długą alejkę z kasztanowcami. Na jej końcu stał duży budynek, który wyglądał jak stary pałac. Bardzo chciałam wiedzieć, dokąd tak naprawdę idziemy, ale tata powiedział tylko, że idziemy spotkać jego kolegę Pawła — artystę. I że ten Paweł umie świetnie czarować, i że pokaże nam filmy.

Weszliśmy do pałacu, który w środku wcale nie wyglądał jak pałac. Było w nim pusto i biało. Tata poprowadził nas do sali z wielkim białym ekranem i fotelami — zupełnie jak w kinie. Było tam dużo ludzi, którzy siedzieli i czekali na film. My usiedliśmy w pierwszym rzędzie.

Chwilę później przed ekranem pojawił się jakiś pan. Na jego widok dorośli przestali rozmawiać. A on tylko śmiesznie się uśmiechał. Miał okulary. Być może to były nawet jakieś specjalne okulary do oglądania filmów.

— Dzień dobry, nazywam się Paweł Althamer — powiedział głośno. — Chciałbym dziś zaprosić wszystkich na spacer.



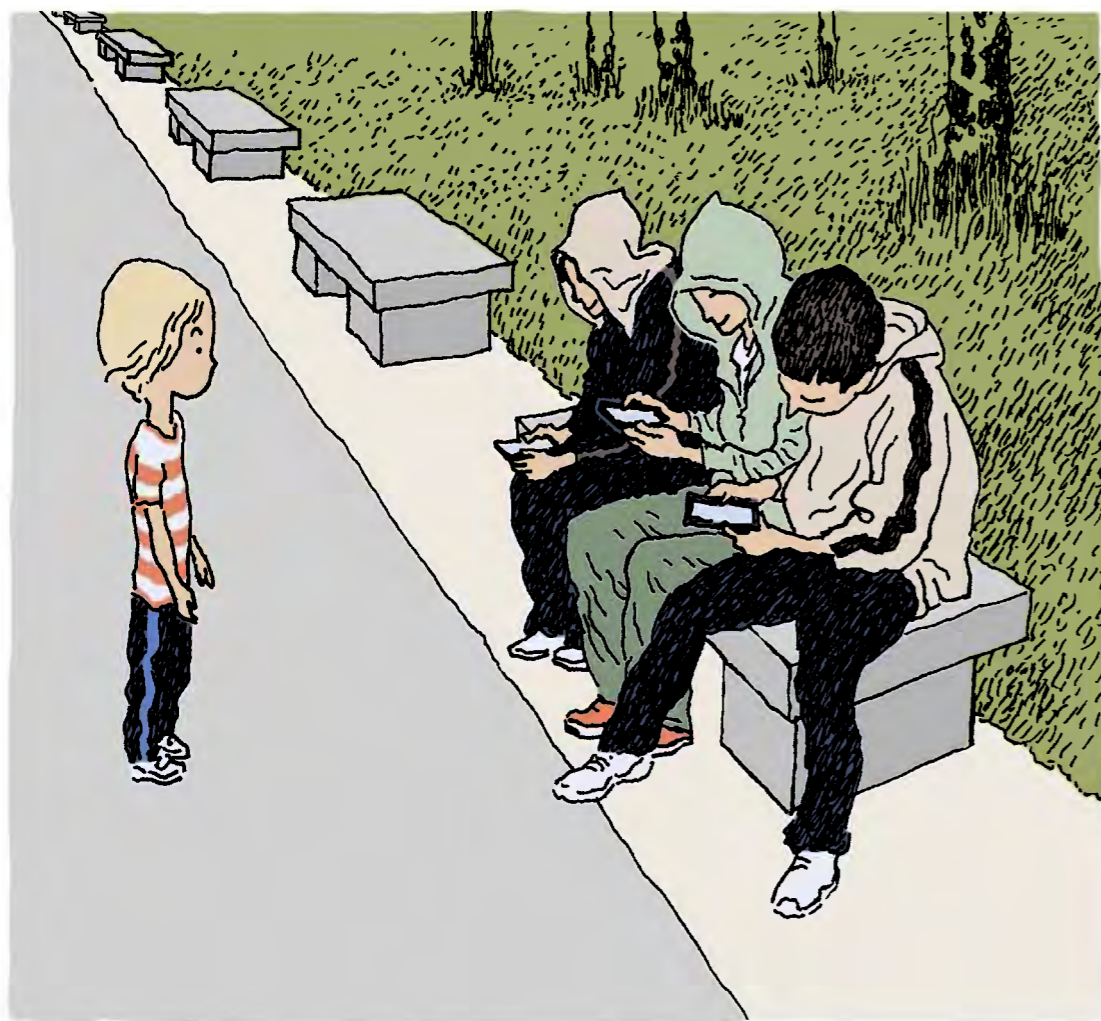
— Tato, przecież mieliśmy oglądać filmy! — zdenerwował się Bartek.

Nie chcieliśmy ruszyć się z miejsca, ale nikt inny nie protestował. Wszyscy zaczęli wstawać i powoli wychodzić z sali.

— Chodźcie, chodźcie! — powiedział tata. — Teraz właśnie będą filmy!

To było bardzo podejrzane, ale ponieważ Paweł, który miał pokazywać te filmy, wyszedł już z sali, wstaliśmy i poszliśmy za wszystkimi.

Cała grupa ruszyła przez park, który otaczał pałac. Tata prawie nic nie mówił, tylko kazał nam uważnie patrzeć. Szliśmy alejką między drzewami, ale wciąż nie było widać żadnego filmu.



Po chwili Paweł zatrzymał się przy kamiennej ławce. Siedziało na niej trzech chłopaków. Mieli telefony w rękach i w coś grali, chyba w pokemony. Bartek podszedł bliżej ławki i zapytał cicho:

— W co gracie?

Ale oni w ogóle nie zwrócili na niego uwagi. Tak jakby nie widzieli, że koło nich stoi cała grupa ludzi i patrzy, jak grają. Wtedy Paweł dał znak, żeby się odwrócić, i poszliśmy dalej.

Za chwilę znowu się zatrzymaliśmy, bo cały chodnik był zatarasowany. Stał na nim stary samochód dostawczy. Miał z przodu podniesioną klapę — ktoś przy niej stał i zaglądał do silnika. Chyba coś reperował.

— Tato, czy ten samochód się zepsuł? — zapytał Bartek.

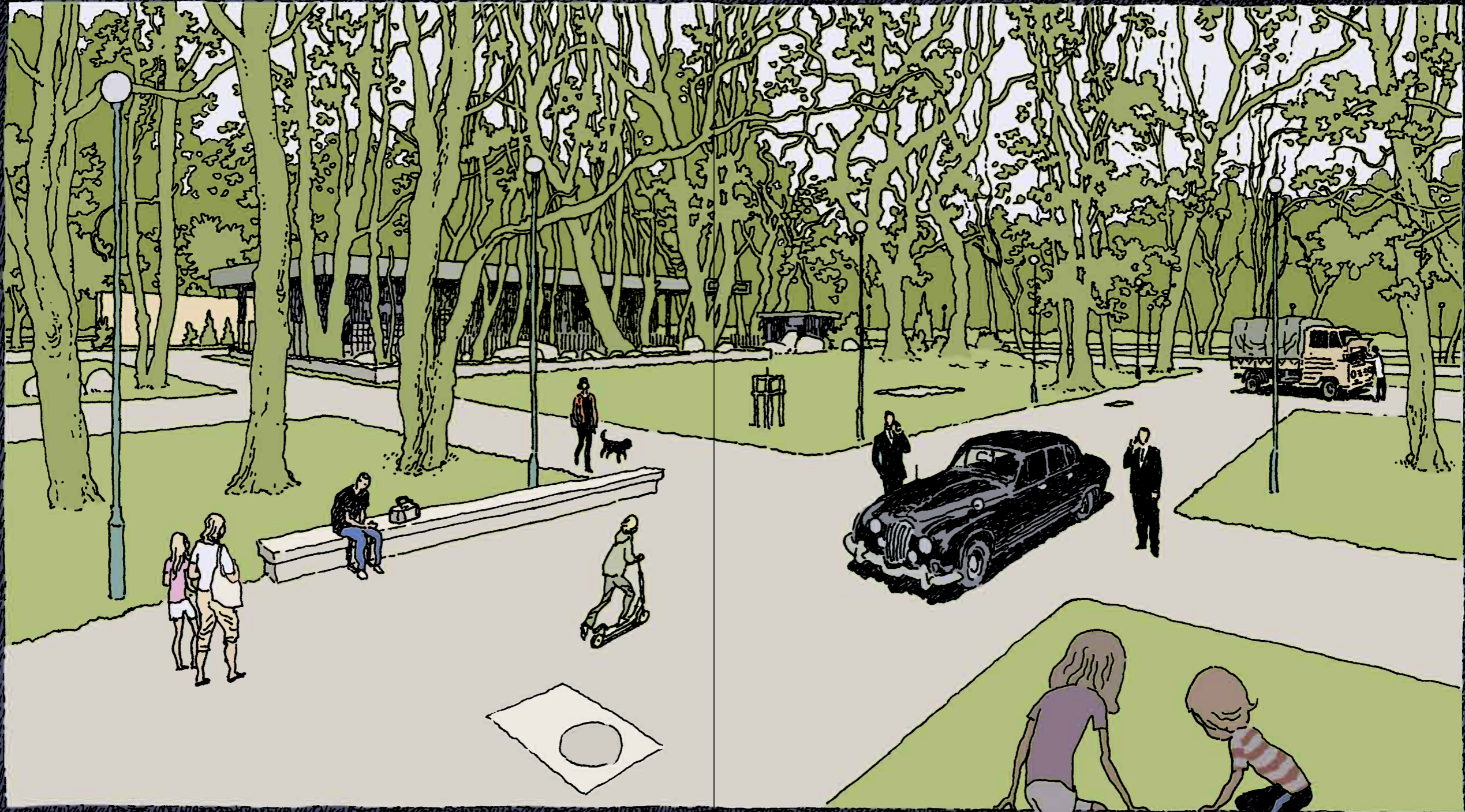
Ale tata nic nie odpowiedział, podszedł do Pawła i razem patrzyli na człowieka przy samochodzie. On chyba nie wiedział, jak go naprawić. Wsiadł do szoferki i przekręcał kluczyk przy kierownicy, ale samochód nie ruszał. Zaczęłam się zastanawiać, co będzie dalej, ale wtedy tata dał znać, że musimy iść dalej za Pawłem. Bartek oglądał się jeszcze, ale samochód dostawczy nadal był w tym samym miejscu.

— Tato, kiedy wreszcie będą filmy? — zapytałam.

Tata znowu nie odpowiedział, tylko wskazał przed siebie ręką. Doszliśmy do dużego placu, po którym spacerowała jakaś pani z psem. Na murku siedział chłopak, który palił papierosa i słuchał muzyki z magnetofonu. Inny chłopak przejechał obok niego na hulajnodze. Za nim poszły dwie panie. To były chyba jego mama i siostra. Dużo się działo i chcieliśmy już tu zostać, bo Bartek zobaczył kolejny samochód.

— Jaguar! — zawołał.

Faktycznie, to był bardzo elegancki i czysty samochód. Stało przy nim dwóch panów w garniturach, którzy rozmawiali przez telefony. Chcieliśmy chociaż dotknąć jaguara, ale wtedy Paweł powiedział, żebyśmy weszli do kawiarni.



W kawiarni zrobił się od razu straszny tłok. Na środku w dwóch rzędach stało już dużo dzieci, była z nimi pani opiekunka. Gdy tylko weszliśmy, zaczęła dyrygować, a dzieci śpiewały jakąś piosenkę, której nie znaliśmy. Usiedliśmy przy wolnym stoliku. Szturchnęłam lekko Bartka:

— Teraz twoja kolej. Zapytaj.

Bartek szarpnął tatę za rękę:

— Tato, czy teraz wreszcie będą filmy?

Tata tylko się uśmiechnął.

— Przecież cały czas oglądamy filmy! To są filmy bez ekranu. Widzieliście wszystkie sceny?

— Tato, czy ci panowie przy jaguarze to też był film?

— Tak, to był film wymyślony przez Pawła. Zrobiony bez kamery, taki film, który dzieje się naprawdę, trzeba się tylko uważnie przyjrzeć.

— A ten pan, który naprawiał samochód, to też był film? I ci chłopcy, co grali w pokemony? I te dzieci, co teraz śpiewają?

— Tak, to wszystko ten sam film zrobiony przez Pawła.

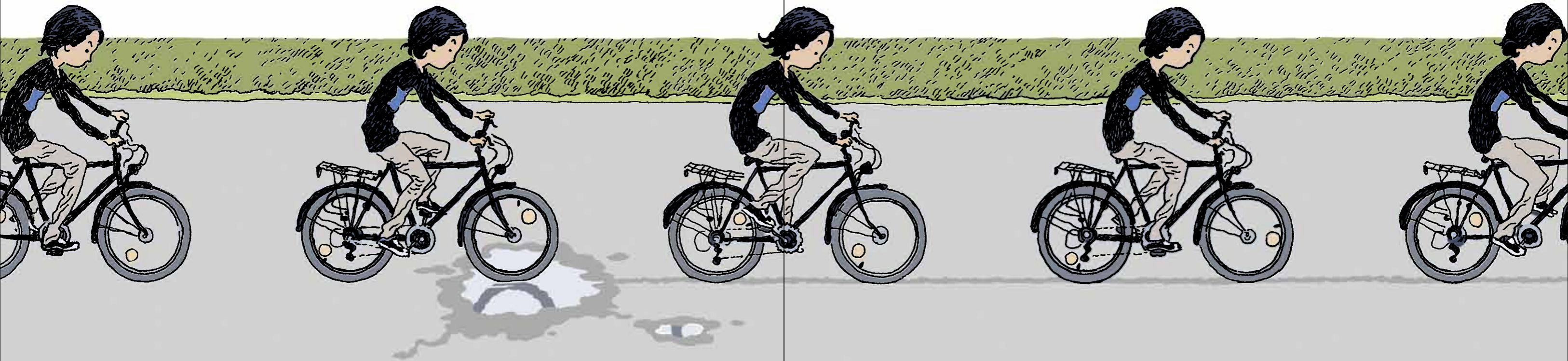
— Ale jak poznać, że to film? — zapytałam.

— To zależy od ciebie. — Teraz tata śmiesznie się uśmiechnął, zupełnie jak Paweł! — Sama możesz sobie włączyć i wyłączyć taki film, kiedy chcesz. Wystarczy, że zaczniesz się uważnie rozglądać dookoła. Na pewno zobaczysz jakąś ciekawą historię.

Tata powiedział, że musimy już iść, i pomachał Pawłowi na pożegnanie. Nie było późno ani ciemno, świeciło nawet słońce, więc wcale z Bartkiem nie chcieliśmy jeszcze wracać do domu. Powoli doszliśmy na nasze podwórko. Jakiś chłopak jeździł tu w kółko na rowerze. Przejeżdżał przez dużą kałużę i zostawiał długi mokry ślad. Potem zeskakiwał rowerem z krawężnika i za chwilę podskakiwał na drugi krawężnik.

— E tam, też tak potrafię! — zawołał drugi chłopak, który stał przy drabinkach.

Nigdy wcześniej nie widzieliśmy tych chłopaków.



Usiedliśmy z Bartkiem na naszej ulubionej ławce przy piaskownicy. Patrzyliśmy, jak ten drugi chłopak wziął rower, wsiadł, przejechał przez kałużę, zeskoczył z krawężnika i próbował podskoczyć na drugi. Ale mu nie wyszło! Uderzył w drugi krawężnik i przewrócił się razem z rowerem. Bach! Ale scena!

— Chodźcie, dzieci, kolacja czeka — zawołał tata w tej samej chwili.

— Zaraz, tato, oglądamy film!

Pierwszy chłopak zaczął się głośno śmiać.

— Głupi rower — zdenerwował się ten drugi. — Na moim rowerze bym podskoczył!

Pierwszy podniósł rower i pomógł wstać drugiemu. Potem wskoczył na rower i jeszcze raz przejechał przez kałużę.

— Idę do domu — powiedział ten drugi i poszedł.

— To koniec filmu — tata klasnął w dłonie. Podszedł do nas i wziął za ręce.

— Tato — zapytał Bartek — czy przy kolacji też można oglądać filmy?

Tata się roześmiał.

— Przy kolacji ja z mamą będziemy oglądali film.

— A jaki?

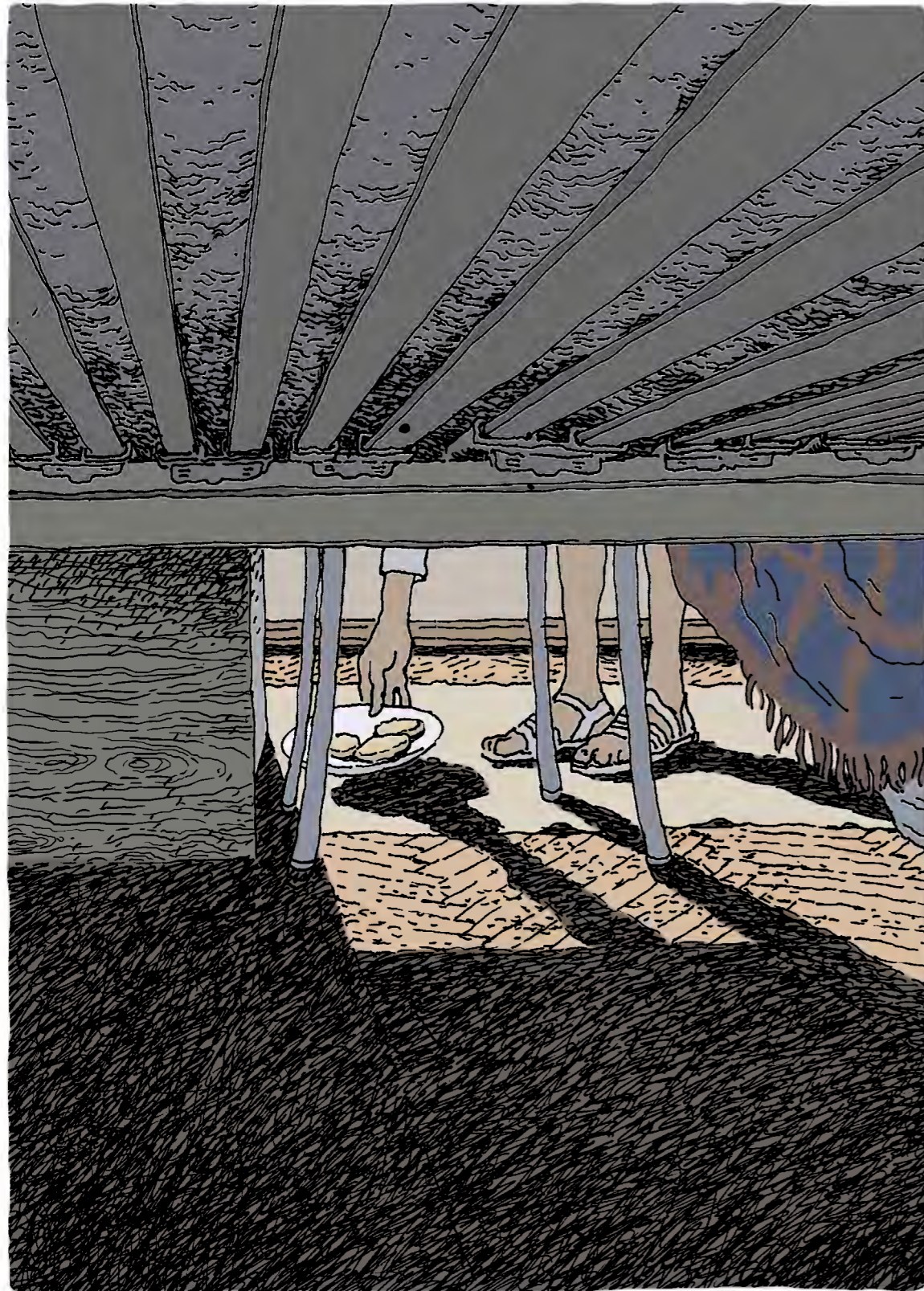
— Polski film pod tytułem „Grzeczne dzieci jedzą kaszę kukurydzianą”.

— Nie! Głupia kasza, głupi film! — krzyknęliśmy razem z Bartkiem i pobiegliśmy w stronę domu.

Rodzice zawsze coś wymyślą, żeby popsuć nam zabawę. I w ogóle nie znają się na filmach. Jutro sami pójdziemy do kina na podwórko.

PAWEŁ ALTHAMER jest artystą, który wymyślił wiele wspaniałych zabaw dla dzieci i dorosłych. Przez lata mieszkał w wielkim bloku na osiedlu Bródno w Warszawie. Wejście do tego bloku przebudował na wnętrze statku kosmicznego. Zaproponował też, żeby z okazji nowego roku 2000 wszyscy mieszkańcy wspólnie zapalili na bloku ogromny napis „2000”. Kiedy zrobiło się ciemno, każdy musiał odpowiednio włączyć lub wyłączyć światło w swoim pokoju, a wtedy cały blok zamienił się w wielkie świecące „2000”. Paweł założył na swoim osiedlu park z rzeźbami, a nawet rajski ogród, i pomalował na biało cały plac zabaw. Jego najwspanialszym wynalazkiem jest kino, do którego nie trzeba kupować biletów, bo wystarczy sobie wyobrazić, że wszystko, co dzieje się dookoła nas, to film. Wystarczy zatrzymać się i oglądać.





Przed kim chowają się dorośli?

Tata wyjechał w delegację. Bartek, gdy tylko przyszedł z przedszkola, schował się pod łóżkiem i ogłosił, że będzie tam siedział, aż tata wróci. Wyszedł tylko na chwilę, żeby zjeść makaron, a potem zabrał taty krzesło, przystawił je do swojego łóżka i nakrył kocem. Powiedział, że to wejście do jego domku, i przeczołgał się z powrotem pod łóżko.

Za chwilę znów wyszedł, zepchnął wszystkie książki z półki i ją też dosunął do łóżka. Przewrócił jeszcze nasz stolik i zasłonił nim wejście do swojego domku. Nakrył wszystko kołdrą i siedział w środku aż do kolacji.

Na kolację mama zrobiła pyszne placki z jabłkami, ale Bartek ciągle nie chciał wyjść ze swojego domku. W końcu mama zaniósła mu placki na talerzyku i postawiła na podłodze przed wejściem zrobionym z krzesła. Bartek wysunął rękę i wciągnął talerz do środka.

— Pyszne! — zawołał spod łóżka.

— Barteczku, czas się myć, wyjdź już, proszę! — zawołała mama.

— Czy tata już wrócił? — zapytał cicho Bartek.

— Tata wróci jutro wieczorem, a teraz idziemy spać, więc wyjdź już spod łóżka, bardzo proszę!

— To nie jest łóżko! — zawołał Bartek. — To mój domek!

Pomyślałam, że to fajnie mieć własny domek, i w czasie, kiedy mama rozmawiała z Bartkiem, szybko zbudowałam własną kryjówkę. Wzięłam nasze dwa krzeselka, łóżeczko lalki Beli i mój ulubiony różowy koc, z którego zrobiłam dach. Schowałam się do środka.

— Nie. Dzieci, bardzo proszę, koniec zabawy. Czas się myć i iść do łóżek — mama się trochę zdenerwowała.

— Mamo, a czy poczytamy jeszcze książkę? — zapytałam.

— Jeśli zaraz wyjdziecie i szybko się umyjemy, to tak, zdążymy jeszcze przeczytać jedną książkę. Ale krótką.

— Mamo, ale skoro tata wyjechał, to czy możemy chociaż poczytać jakąś książkę z jego półki?

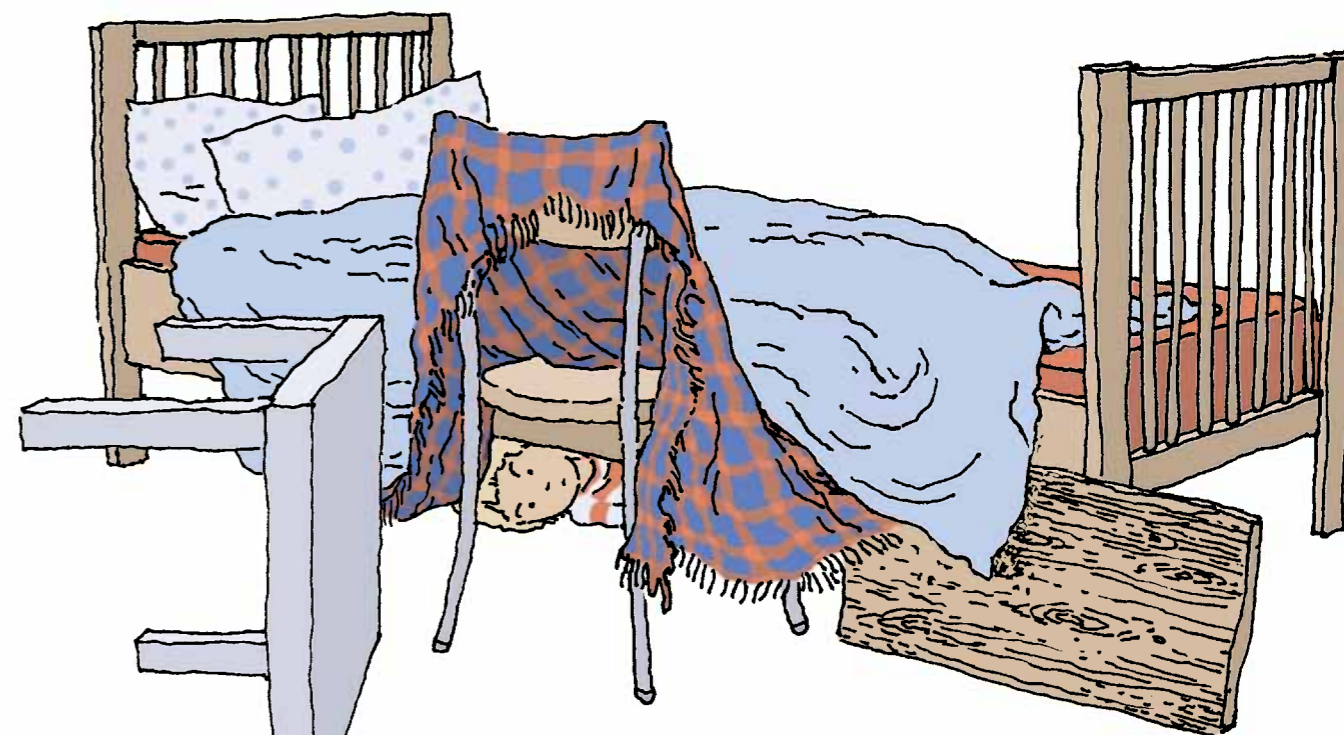
Tata ma w dużym pokoju wielki regał. Stoi na nim mnóstwo różnych książek, które czasem nam pokazuje. Ponieważ tata pracuje w galerii, to jego książki są ciekawe, bo jest w nich bardzo dużo obrazków.

— No dobrze — zgodziła się mama — ale jeśli tak, to natychmiast wychodźcie.

Bartek szybko wybiegł spod łóżka i razem popędziliśmy do dużego pokoju.

— Najpierw do łazienki! — zawołała mama.

Bartek był szybszy i zdążył już wyjąć z półki jakąś czarną książkę.





— My chcemy tę! — zawołał.

Po myciu położyliśmy się do łóżek. Mama usiadła obok nas i otworzyła wybraną przez Bartka książkę.

— O, widzę, że tu w ogóle nie ma tekstu... — zdziwiła się.
— Same fotografie.

— Mamo, czytaj, czytaj! — ponaglał ją Bartek.

— No to spójrzcie, co jest na tych zdjęciach? — mama przewracała kolejne kartki i pokazywała nam obrazki.

Wszystkie były do siebie podobne — przedstawiały domki i kryjówki zbudowane z różnych mebli i koców.

— To mój domek! — zawołał Bartek i wskazał jedno ze zdjęć.

— Wcale nie, mamo, powiedz mu, że to nie jest jego domek!
— zdenerwowałam się. — Przecież to są domki jakichś ludzi.

— Nie, to mój domek! — upierał się Bartek.

Mama przewróciła kartkę.

— Jak tak, to to jest mój domek! — szybko zaklepałam sobie następne zdjęcie.

— Nie! To mój domek! — znowu krzyczał Bartek.

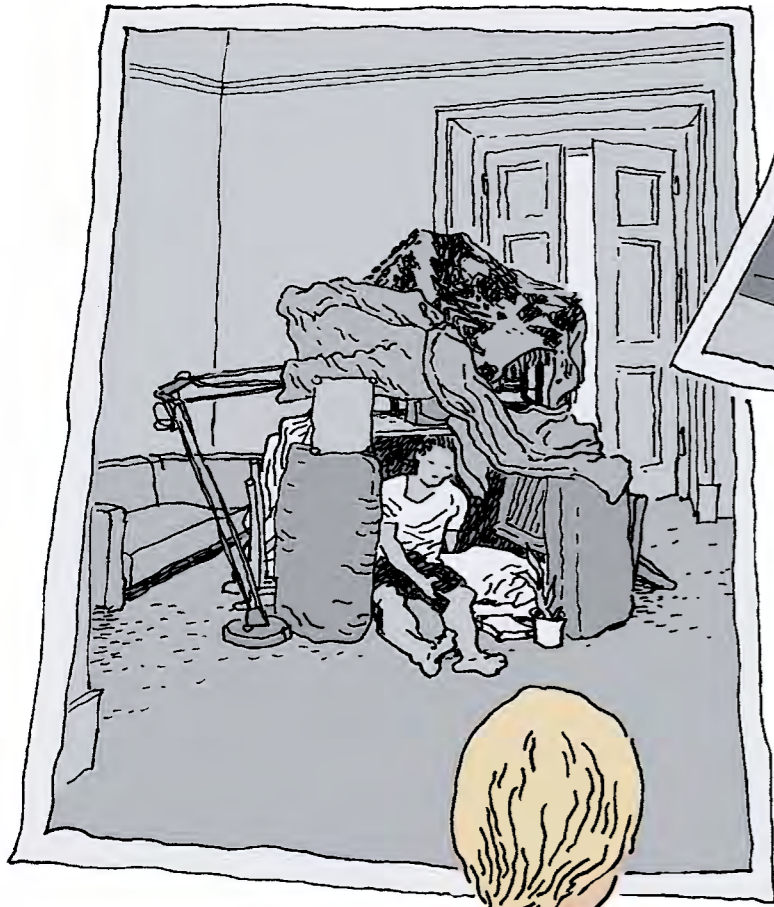
— Spójrzcie — powiedziała spokojnie mama — w tym domku ktoś jest...

Faktycznie, na zdjęciu, schowany pod dwoma krzesłami nakrytymi obrusem, siedział jakiś pan.

— O, widzisz, to nie jest twój domek, tam już ktoś mieszka... Mamo, ale dlaczego ten pan tam się schował?

Mama nic nie odpowiedziała, tylko znowu przewróciła kartkę. Na następnym zdjęciu widać było dużą kryjówkę zbudowaną ze stojącej lampy, taboretów i deski do prasowania.

W środku też ktoś był.



— Mamo, przecież to są domki dziecięce, dlaczego ci dorośli się w nich chowają? — zapytałam.

— Wiesz, Matylde, dorośli też czasem zachowują się jak dzieci — odpowiedziała mama.

— I budują sobie kryjówki w mieszkaniu?

— Tak.

— A dlaczego oni budują sobie te domki? Czy oni chcą się bawić?

— Może chcą się bawić, a może chcą się schować?

— Ale przed kim? Czy się kogoś boją? — zapytałam, bo nigdy nie widziałam, żeby rodzice się chowali.

— Może po prostu nie chcą, żeby na nich patrzeć? A może tak jak Bartek tęsknią za rodzicami? Albo nie mogą się doczekać, aż ktoś do nich wróci? A może też nie chcą jeść kolacji?

— podpowiadała mama.

— Mamo, czy dorośli naprawdę budują sobie domki czy tylko tak udają do zdjęć?

— Słuchajcie, z tymi domkami było tak: artystka, która robiła zdjęcia, poprosiła znajomych, żeby zbudowali dla siebie kryjówki w swoich mieszkaniach. A potem te kryjówki sfotografowała, więc zdjęcia są prawdziwe.

— A oni się zgodzili? — zdziwiłam się.

— Jak widzisz, tak. Dorośli robią dużo rzeczy jak dzieci, dla zabawy, a artyści im w tym pomagają. Robią wtedy razem różne dziwne rzeczy, których normalnie by nie zrobili...

— Dlaczego?

— Bo na przykład się wstydzą albo nigdy nie wpadli na taki pomysł.

— I artyści im pomagają? Czy artyści pomagają dorosłym?



— Pomagają. Przyglądają się temu, co robimy. Zwracają nam uwagę na rzeczy, których sami nie widzimy albo których się boimy, albo których nie umiemy wytłumaczyć.

— Mamo, a co jeszcze dorośli robią jak dzieci? — tego byłam naprawdę ciekawa.

— Na przykład cieszą się jak dzieci, a czasem są uparci jak dzieci.

— Mamo, a czy ty się cieszysz jak dziecko?

— Ja? Ja się cieszę jak dziecko, kiedy moje dzieci się cieszą. Ale kiedy są uparte...

— To co, to co wtedy? Czy wtedy też chcesz zbudować sobie domek i się schować?

— Oj tak, czasem mam ochotę... — westchnęła mama.

— I też sobie zbudujesz taki domek? — zapytał Bartek.

— To super! — ucieszyłam się. — To będziemy sąsiadkami i będziemy się odwiedzać!

— Mamo, a czy jak tata wróci, to też zbuduje sobie domek?

— zainteresował się Bartek.

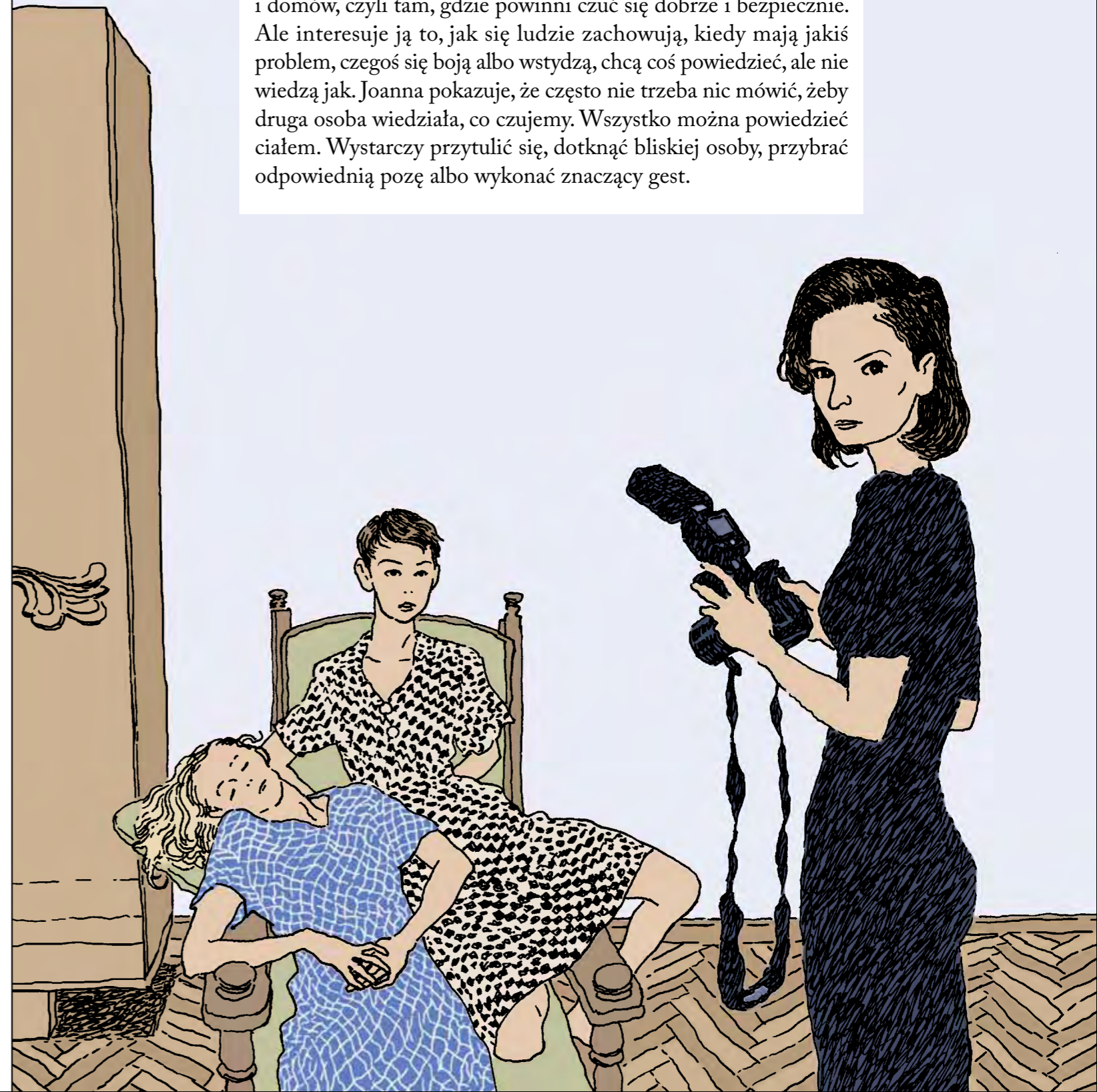
— Tak — odpowiedziała mama.

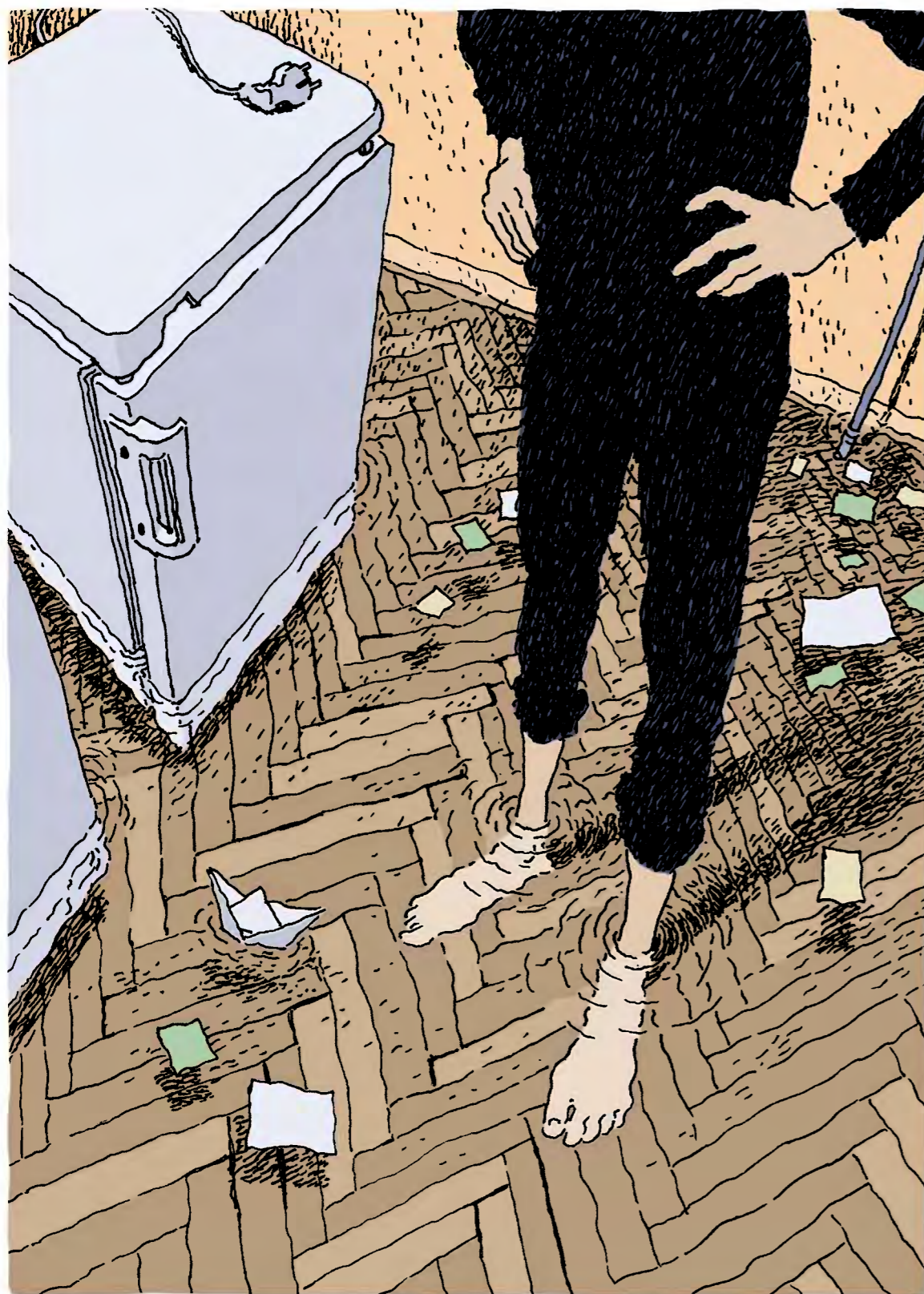
— Naprawdę?! — Nie wiedziałam, czy mama żartuje, czy nie. — To tata chyba zrobi swoją kryjówkę z książek. Ma ich tyle, że może z nich zbudować dom jak z cegieł.

Mama zaśmiała się i zamknęła książkę.

— Dobranoc. Niech wam się przyśnią takie domki, w których nie trzeba się chować, tylko można się cały czas bawić.

JOANNA PIOTROWSKA jest fotografką. Robi zdjęcia różnym ludziom — swojej rodzinie, znajomym lub jeszcze innym osobom. Wszystkich specjalnie ustawia, na ogół w niecodziennych i dziwnych pozach. Fotografuje ich we wnętrzach mieszkań i domów, czyli tam, gdzie powinni czuć się dobrze i bezpiecznie. Ale interesuje ją to, jak się ludzie zachowują, kiedy mają jakiś problem, czegoś się boją albo wstydzą, chcą coś powiedzieć, ale nie wiedzą jak. Joanna pokazuje, że często nie trzeba nic mówić, żeby druga osoba wiedziała, co czujemy. Wszystko można powiedzieć ciałem. Wystarczy przytulić się, dotknąć bliskiej osoby, przybrać odpowiednią pozę albo wykonać znaczący gest.





Bałwan w lodówce

Była to niedzielna sobota, a może sobotnia niedziela — nie pamiętam. Obudziłam się pierwsza, Bartek jeszcze chrapał, a rodzice oczywiście spali w najlepsze. Nie miałam nic do roboty, postanowiłam więc obudzić brata.

— Bartek, Bartek, pobawimy się w trudne słowa?

Bartek coś zamruczał i obrócił się do ściany. Nachyliłam się nad jego uchem i krzyknęłam:

— Mar-no-traw-stwo!

Od razu podziałało, Bartek poderwał się i usiadł na łóżku, chociaż chyba nie wiedział, co się dzieje.

— Bartek, pobawimy się w trudne słowa? — powtórzyłam.

— Dobra! — odpowiedział szybko Bartek. — Jakie trudne słowa?

— Na przykład „marnotrawstwo”. Ja mówię jakieś trudne słowo, a potem ty je musisz powtórzyć, a potem ty mówisz

jakieś trudne słowo, a ja je powtarzam. Tylko muszą to być naprawdę trudne słowa — i takie, których się nie zna.

— Dobra! — znowu zgodził się Bartek.

— To powtórz: mar-no-traw-stwo!

— Mar-to-trans-to-two...

— Hahaha, Bartek... — roześmiałam się, bo to było bardzo śmieszne, co powiedział!

Ale Bartkowi nie było wcale tak wesoło.

— Mama!!! Matylda się ze mnie śmieje! — zaczął krzyczeć i pobiegł do sypialni rodziców.

Oczywiście pobiegłam za nim i za chwilę już oboje leżeliśmy na kołdrze, pod którą ukrywali się rodzice.

— Tato, tato, powiedz jakieś trudne słowo! — prosiliśmy naprawdę głośno.

Ale tata, schowany głęboko pod kołdrą, spał dalej. Udało nam się dokopać do jego głowy. Teraz wystarczyło ścisnąć w dwa palce taty nos. Zrobiliśmy to — tata od razu otworzył oczy i przemówił zaspanym głosem:

— Dzieci, my śpimy jeszcze...

— Tato, tato, powiedz jakieś trudne słowo! Bawimy się z Bartkiem w trudne słowa, jak powiesz nam jakieś trudne słowo, to będziesz mógł jeszcze pospać. Trochę pospać.

Tata spojrzał na nas podejrzliwie i powiedział:

— Performer!

— Performer? A co to znaczy performer? — zdziwił się Bartek. — Tato...

Ale tata już nie odpowiedział, chrapał. Dopiero przy śniadaniu udało nam się znowu zapytać.

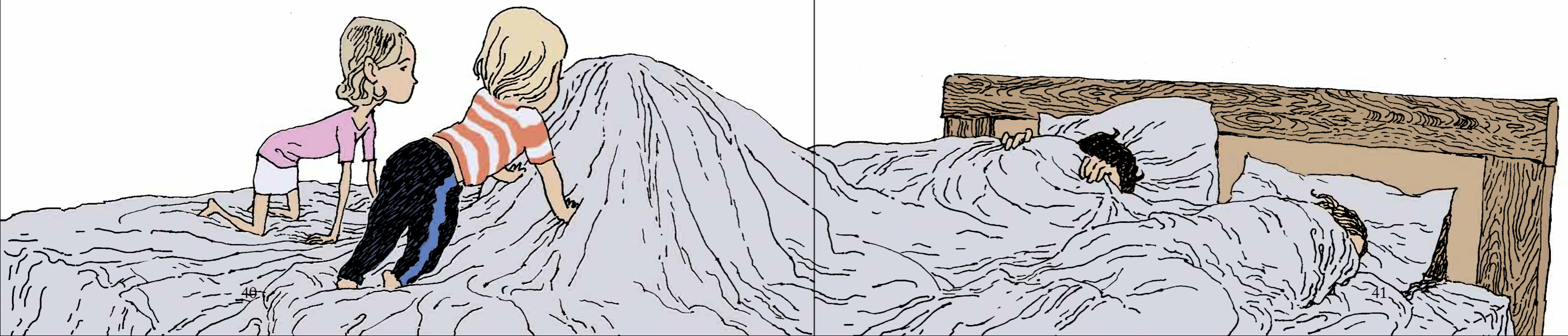
— Tato, co to znaczy performer?

— Performer? — zdziwił się tata. — A skąd wy znacie takie słowo?

— Sam je nam powiedziałaś!

— To chyba przez sen — powiedział tata i podrapał się po głowie. — No dobrze, performer to taki artysta...

— Artysta? — teraz zdziwił się Bartek.



— Taki artysta, który nie maluje obrazów ani nie robi zdjęć, ani rzeźb, tylko występuje przed widzami...

— Występuje? Czy on śpiewa?

— Nie śpiewa, ale na przykład... — tata zaczął opowiadać — na przykład bierze ogromny kamień, który ledwo może podnieść, i rzuca go tak daleko, jak się da. A potem bierze małe ptasie piórko i też z całej siły rzuca je, jak najdalej potrafi...

— I co, tato?

— I okazuje się, że i kamień, i piórko poleciały tak samo blisko.

— Dlaczego tak samo blisko?

— Bo ani ciężkiego kamienia, ani bardzo lekkiego piórka nie da się daleko rzucić — tata popatrzył na nas. — Słuchajcie, a może pójdziemy odwiedzić naszego znajomego Oskara?

Pamiętacie Oskara?

— Tego, któremu zalało mieszkanie?

— Tak, właśnie tego. Oskar jest performerem!

Po śniadaniu ubraliśmy się naprawdę szybko, bo byliśmy z Bartkiem bardzo ciekawi, jak jest u Oskara w domu i czy taki artysta performer ma jakieś fajne zabawki.

Oskar mieszkał w zwykłym szarym domu, na trzecim piętrze. Od razu można było rozpoznać drzwi do jego mieszkania. Były na nich naklejone duże kolorowe litery.

— Tato, co tu jest napisane? — zapytał Bartek.

— Osss-kar. Oskar! — przeczytałam.

I w tej samej chwili drzwi się otworzyły.

— Tato, czy zawsze, gdy się powie: „Oskar”, to drzwi się same otwierają?

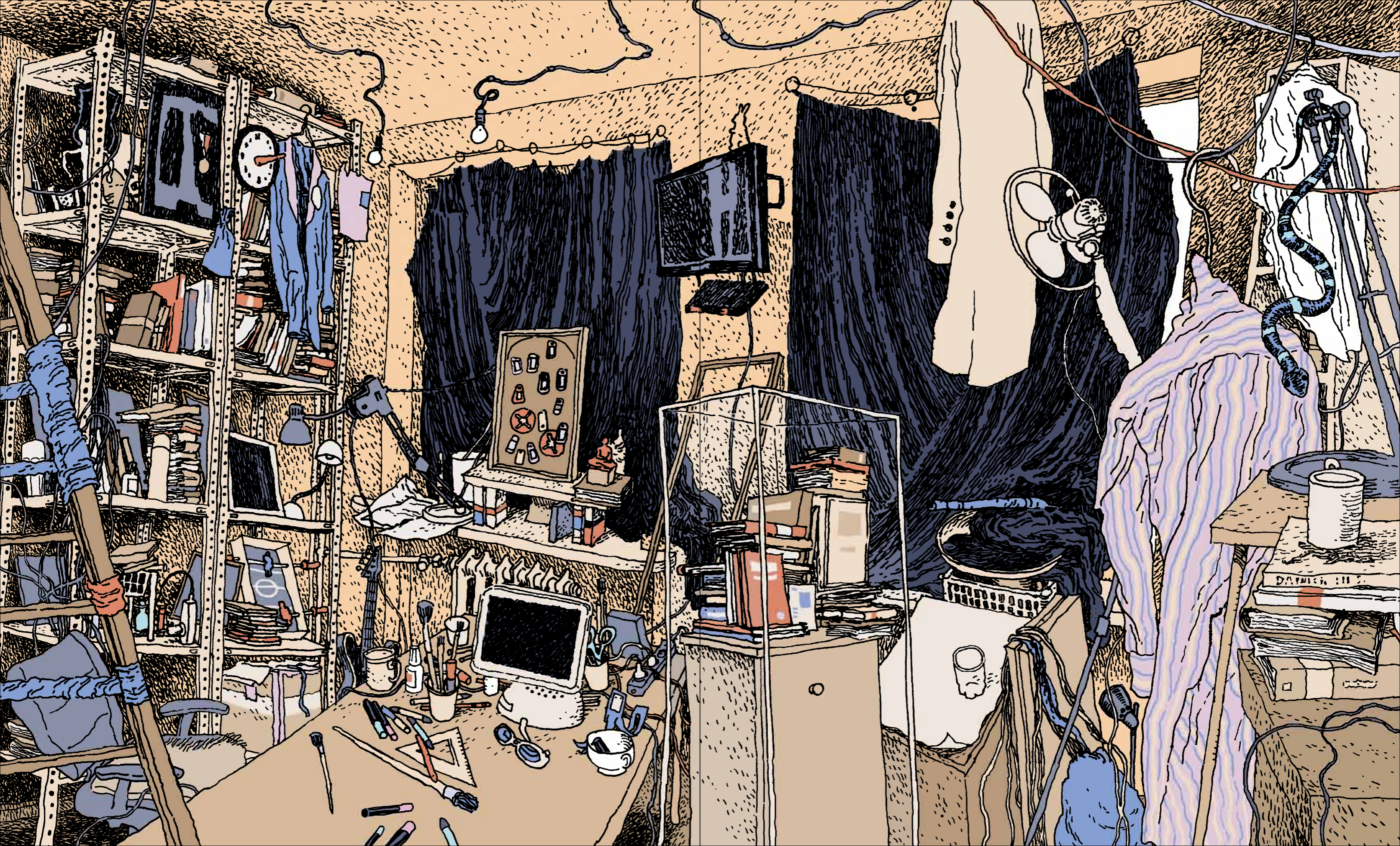
— Hmm... — zamyślił się tata. — Może odgadłaś

czarodziejskie zaklęcie, a może po prostu drzwi nie były zamknięte?

Weszliśmy do mieszkania.

W środku było naprawdę ciasno — mały korytarzyk prowadził do pokoju, w którym było po prostu wszystko. Na stołach i półkach leżały książki, ale też dwa stare komputery i mnóstwo innych rzeczy. Były tam flamastry w najdziwniejszych kolorach i wielki stos nieoprotwieranych listów. Na podłodze stały pudła, skrzynki i duże czarne głośniki. Trzeba było stać w miejscu, żeby niczego nie strącić. W dodatku nie wszystko było widać dokładnie, bo dwa duże okna ktoś zasłonił ciemnym materiałem.





Nagle, nie wiadomo skąd, pojawił się Oskar.

— Cześć, Oskar! — przywitał się tata. — Przyszliśmy razem, bo dzieci chciały się czegoś od ciebie dowiedzieć...

— Bardzo mi miło — powiedział i nawet się przy tym ukłonił.

Był wysoki, chudy i miły, miał okulary i trochę się uśmiechał. Przyglądaliśmy się Oskarowi, wychylając się zza pleców taty.

— A co chcielibyście wiedzieć? — zapytał Oskar, kucając przed nami.

Spojrzałam szybko na Bartka. Byliśmy naprawdę pod-eks-cy-to-wa-ni! To był właśnie ten Oskar, któremu kiedyś zalało mieszkanie! Oskar per-for-mer! Nie mogłam już wytrzymać i powiedziałam:

— A naszej babci też zalało mieszkanie...

Oskar i tata się roześmiali.

— Na szczęście wszystko już wyschło! — powiedział Oskar.

— A lodówka też wyschła? — zapytałam, bo rodzice mówili, że to ona wszystko zalała.

— Wyschła. W dodatku, spójrzcie, mam teraz trzy lodówki!

Trzy lodówki? Faktycznie, pod ścianą stały trzy lodówki. Mała, większa i największa.

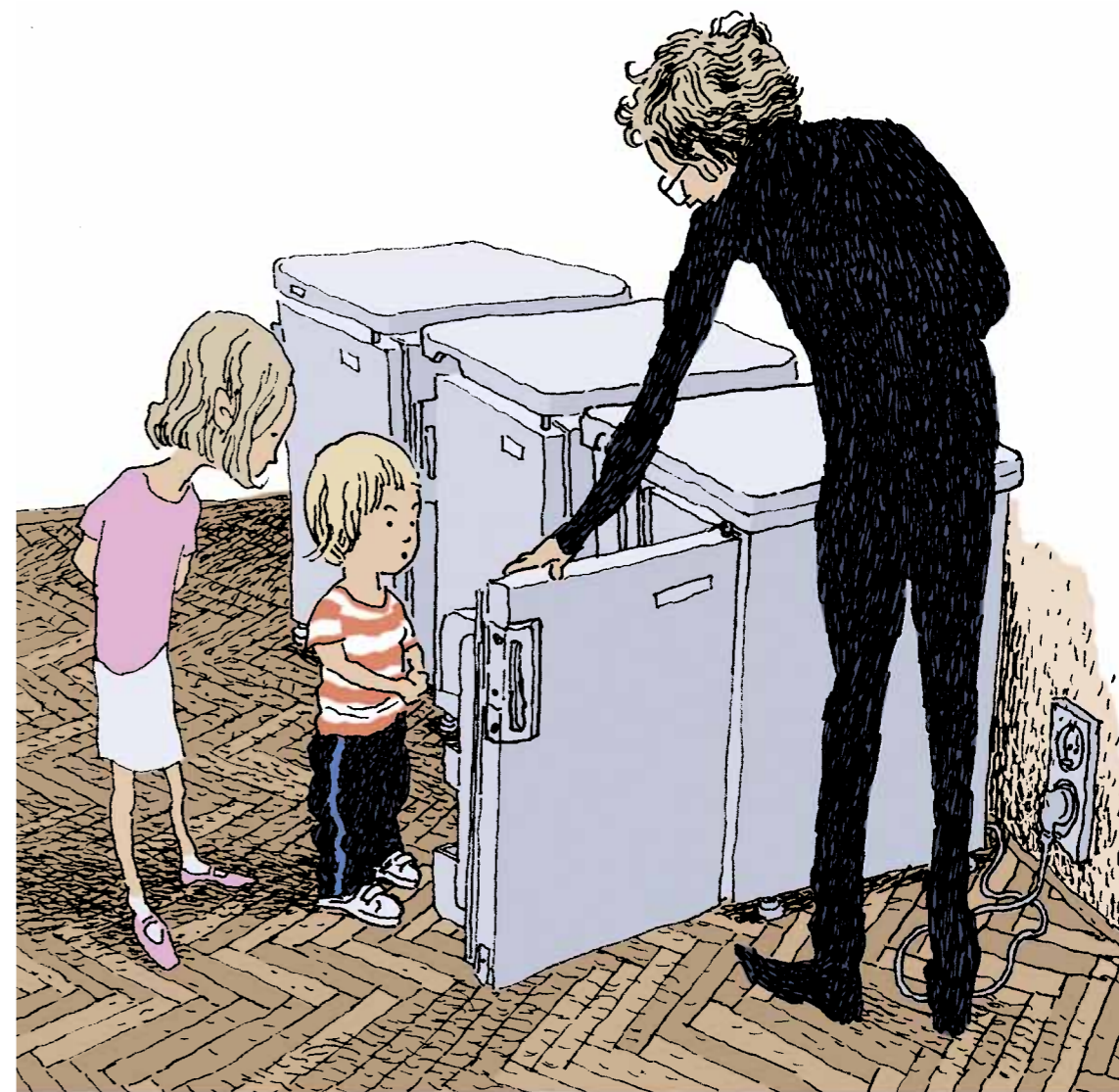
— Bartek, zobacz, Oskar ma trzy lodówki! — aż zawołałam z wrażenia.

— A dlaczego trzy lodówki? Co jest w tych lodówkach?

— zapytał Bartek, bo tak jak ja był bardzo zdziwiony tym, co zobaczyliśmy.

— Ha! — ucieszył się Oskar. — W tej najmniejszej mam zapas jedzenia, bo czasem lubię długo nie wychodzić z domu...

— otworzył pierwszą lodówkę. W środku leżały równo ułożone paczki słonych paluszków i butelki wina. — W drugiej lodówce, w tej, z której kiedyś wylała się woda, mam teraz swoje ulubione książki. — Oskar otworzył drugą lodówkę i zobaczyliśmy, że na wszystkich półkach leżą poupychane książki. — A w największej lodówce mam... — Oskar zawiesił głos i bardzo powoli otworzył trzecią lodówkę...





To było niesamowite! W środku stał wielki śniegowy bałwan! Nie mogliśmy w to uwierzyć.

— Czy to prawdziwy bałwan? Ze śniegu? — zapytał Bartek.

— Tak, to mój bałwan — odpowiedział Oskar. — Trzymam go tu, bo latem jest mu za gorąco, więc roztopiłby się, gdyby siedział teraz w pokoju.

— Czy możemy go dotknąć? — zapytał Bartek w tym samym momencie, w którym i ja o tym pomyślałam.

— Możecie, ale delikatnie, bo teraz śpi.

— Dlaczego śpi?

— Bo bałwany latem śpią — odpowiedział Oskar.

Zbliżyliśmy się do lodówki i delikatnie dotknęliśmy palcami bałwana. Był bardzo zimny. Miał oczy z guzików i guziki na brzuchu. Wszystko jak najprawdziwszy bałwan!

— Tato, czy my też możemy mieć takiego bałwana w lodówce? — zapytał cicho Bartek.

— U nas bałwan się nie zmieści, przecież mamy tylko jedną lodówkę... — zaczął tłumaczyć tata. — A poza tym, żeby się opiekować takim bałwanem, trzeba być prawdziwym performerem...

— Tato, powiesz wreszcie, kto to jest performer? — zapytaliśmy jednocześnie z Bartkiem.

Tata spojrzał na Oskara, a on chwilę się zastanowił, popatrzył na nas i odpowiedział:

— Performer to czarnoksiężnik, który zgubił wszystkie swoje zaklęcia.

Powiedział to, jakby była to najnormalniejsza rzecz na świecie.

Popatrzyliśmy na Oskara. Czy tak wygląda czarnoksiężnik? Nie był wcale straszny, uśmiechał się nawet do nas. Był też chyba trochę smutny, a może tylko zamyślony. Może jego zaklęcia schowały się gdzieś wśród tych wszystkich rzeczy? Tak bardzo chcieliśmy teraz wypytać go o to, ale żadne pytanie nie chciało się powiedzieć na głos. A na dodatek tata stwierdził, że musimy już iść i że na pewno odwiedzimy Oskara i jego bałwana jeszcze nie raz. Pożegnaliśmy się więc niechętnie i wyszliśmy na dwór.

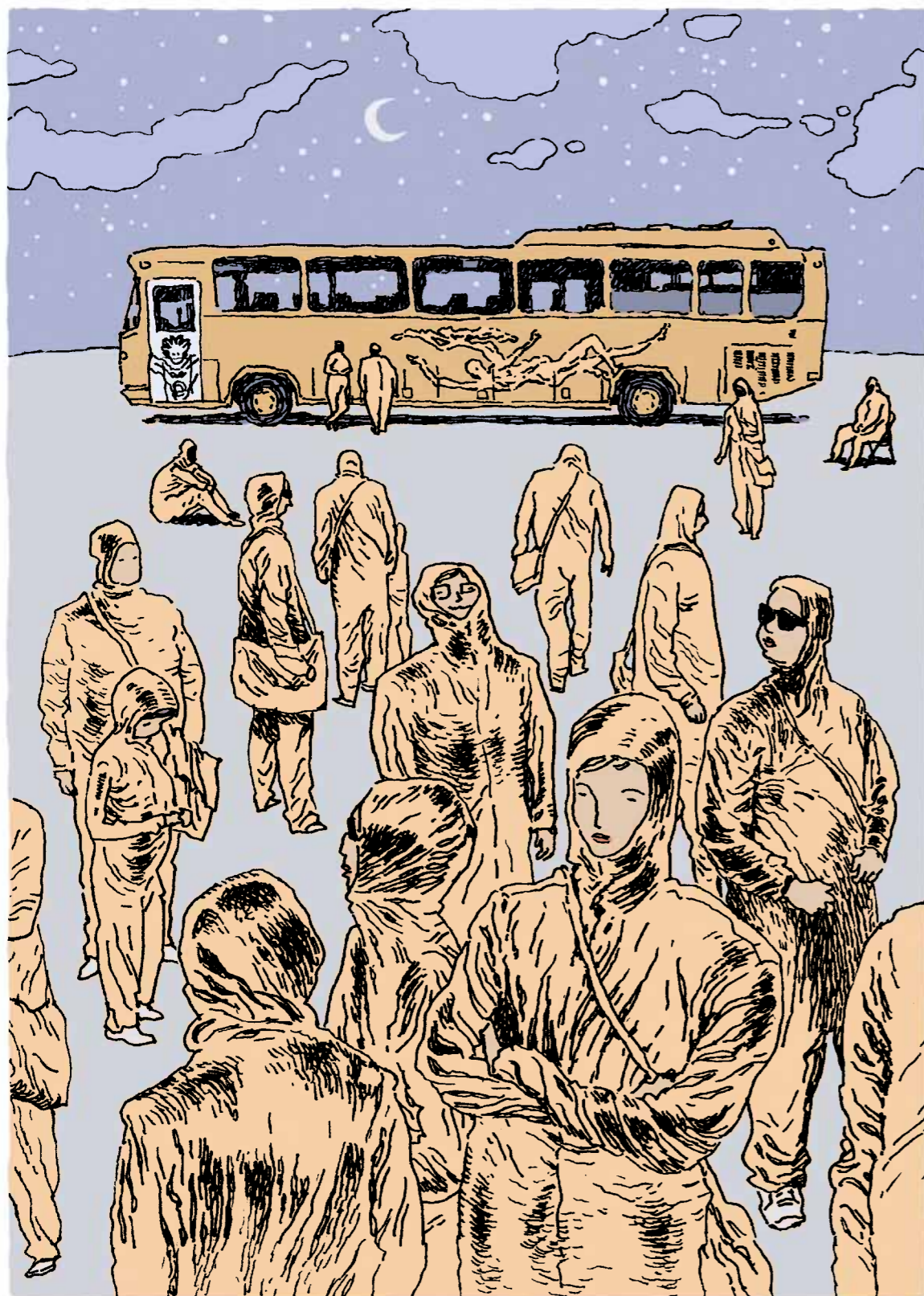
— Tato, czy Oskar znajdzie swoje zaklęcia? — zapytałam.

— Nie wiem, Matyldo, ale myślę, i Oskar też chyba tak myśli, że czasem szukanie jest ciekawsze niż znajdowanie.

Tak właśnie powiedział tata: szukanie jest ciekawsze niż znajdowanie. Wracaliśmy do domu specjalną performerską drogą, którą wymyślił dla nas Oskar. Powiedział, że w taki słoneczny dzień powinniśmy iść tylko w cieniu. Bo wiecie, chowanie się — choćby przed słońcem — jest jeszcze ciekawsze niż szukanie.

Performer to taki artysta, który na żywo przed widzami robi różne wymyślone przez siebie rzeczy. **OSKAR DAWICKI** jest performerem, ale często zamiast coś zrobić, nie robi nic. Stoi w swojej czarodziejskiej błyszczącej marynarce, kłania się i po prostu przeprosza wszystkich za to, że nie ma przygotowanego niczego ciekawego. Chętnie się chowa, a nawet znika. Czasem zostaje po nim tylko ślad, na przykład dziura w ścianie w kształcie człowieka. Raz zakradł się nocą do sadu i nadgryzł wszystkie jabłka z jednego drzewa, a kiedy indziej namalował obraz, który nigdy nie wysycha. Zorganizował też loterię, w której nie można nic wygrać, bo każdy los jest przegrany. Oskar uważa, że trudniej i mądrzej jest nic nie robić, niż zrobić za dużo. A najważniejsze według niego to umieć pięknie przeproszać.





Autobus z fikołkami

Rodzice obiecali, że w niedzielę pojedziemy na wycieczkę. Bardzo się z Bartkiem ucieszyliśmy! Ale rano, kiedy już zjedliśmy śniadanie, a mama z tatą pakowali plecak, okazało się, że to nie będzie wcale wycieczka rowerowa. Ani pociągowa, ani samochodowa, ani tramwajowa. Mama powiedziała, że pojedziemy na wycieczkę autobusem.

— Niece... Mamo, przecież wiesz, że ja nie lubię autobusów, przecież mówiłam ci to!

— Mamo, ja też nie lubię autobusów! — Bartek jak zawsze powtarzał po mnie.

— Spokojnie, dzieci, to nie będzie długa podróż, a tam, dokąd jedziemy, najłatwiej dojechać autobusem. — Tata próbował odwracać kota ogonem. To znaczy — mówić odwrotnie, niż jest naprawdę. Przecież wiadomo, że w autobusie jest źle, duszno i trzęsie.

— My nie chcemy jechać autobusem... — rozpłakał się Bartek.

— A czy słyszeliście już o złotym autobusie? — Tata znowu coś wymyślił. — Pamiętacie Pawła, który pokazywał nam w parku filmy? Paweł ma taki złoty autobus.

— Złoty autobus? Cały złoty? — zdziwił się Bartek i zaczął wycierać zapłakane oczy. — Czy koła też ma złote?

— Tak, koła też ma złote — odpowiedział tata.

— A opony też? — upewniał się Bartek.

— Nie, opony ma czarne, ale felgi są złote. Boki też ma złote. I wyobraźcie sobie, że na tych bokach są wyrzeźbione postaci złotych ludzi.

— Wyrzeźbione? Przecież autobus nie jest rzeźbą!

— Ale można przymocować rzeźby do jego boku, prawda? Na przykład rzeźby złotych ludzi...

— Dlaczego złotych ludzi?

— Bo tym autobusem podróżują złoci ludzie — w specjalnych złotych kombinezonach, które uszył Paweł.

— W złotych kombinezonach?! — zachwyciłam się.

— Prawdziwych?

— Najprawdziwszych — potwierdził tata.

Od razu pomyślałam, że złoty kombinezon to przecież bardzo potrzebna rzecz. Można się w niego ubrać na imieniny do babci albo z okazji jakiegoś święta. To świetnie, że ktoś uszył takie kombinezony!

— Tato, czy my pojedziemy na wycieczkę złotym autobusem? — zapytałam.

Tata nic nie odpowiedział, ale tak nas tą historią zagadał, że nawet nie zauważyliśmy, kiedy wyszliśmy na ulicę.

Doszliśmy na przystanek, a za chwilę podjechał autobus.

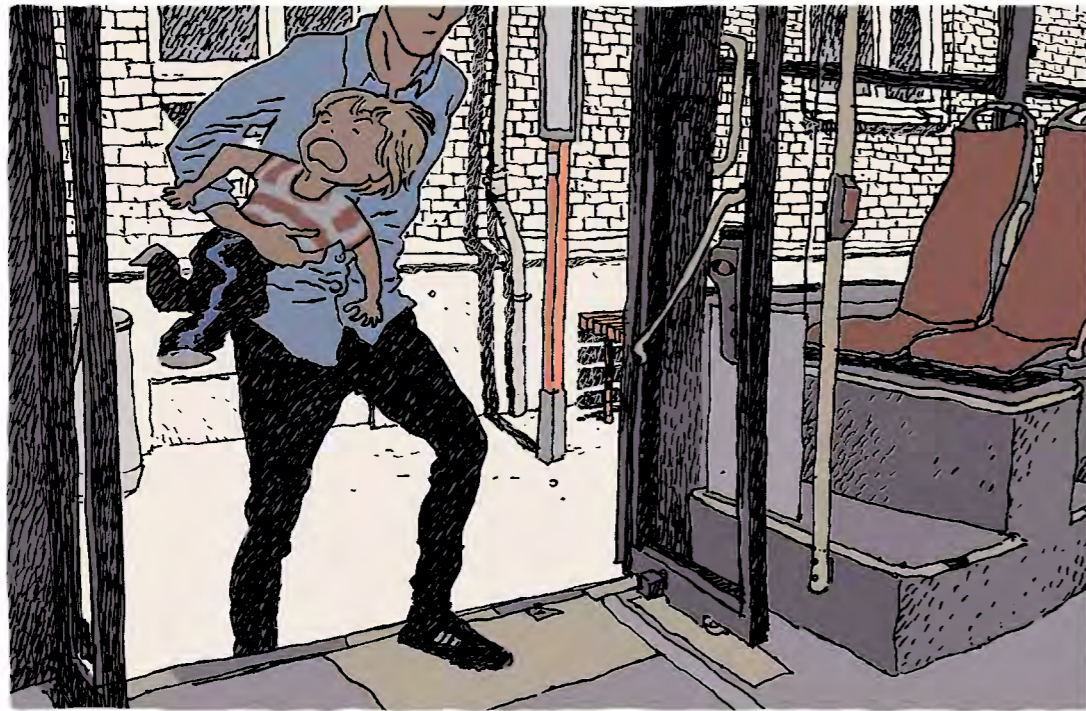
— Wsiadamy! — zawołał tata.

— Tato, ale to jest przecież zwykły autobus! — krzyknął Bartek. — Powiedziałeś, że pojedziemy złotym!

— Nic takiego nie powiedziałem! — odpowiedział tata, biorąc Bartka na rękę. — Jeśli chcecie, to kiedyś na pewno się nim przejedziemy, ale dzisiaj wsiadamy do tego.

— Nie chcę!!! To jest zwykły autobus!!! — Bartek wrzeszczał, kiedy tata wnosił go do środka. — Ja nie chcę jechać zwykłym autobusem!!! W autobusie jest nudno!





— W autobusie jest nudno? — zdziwiła się mama.
— Możecie przecież wyglądać przez okno.
— Za oknem jest nudno! — Bartek się rozplakał.
— To możesz rozejrzeć się w środku — powiedział tata. —
Może akurat jedzie z nami jakiś artysta albo artystka i zaraz
zrobią coś niezwykłego.
Rozejrzałam się dookoła. Wszyscy w autobusie wyglądali
zupełnie normalnie i nie robili niczego ciekawego, tylko wpa-
trywali się w swoje telefony.
Bartek przestał płakać i też zaczął się rozglądać.
— Ale jak rozpoznać artystkę? — zapytałam.
— Artystki nie rozpoznaje się po tym, jak wygląda,
ale po tym, co robi — powiedziała mama.
— A co artystka robi w autobusie? — zapytał Bartek. —
Czy artystki kasują bilety?

— Kasują, chyba że mają bilet miesięczny.
— A co będzie, jeśli artystka nie skasuje biletu?
— To samo, co może nas spotkać, jeśli tego nie zrobimy —
odpowiedział tata. — Może przyjdzie kontroler i wlepić karę.
Artyści mogą robić różne szalone rzeczy, ale powinni kasować
bilet jak wszyscy inni.
— Tato, powiedz nam, co szalonego można zrobić w auto-
busie — poprosiłam.
— Dobrze. Czy wiecie, do czego służą te żółte rurki i porę-
cze? — zapytał.
Oczywiście, że wiedzieliśmy. Poręcze są po to, żeby się ich
trzymać i nie upaść, kiedy autobus nagle zahamuje.
— To opowiem wam, co wydarzyło się kiedyś w pociągu
podmiejskim w Sztokholmie. Był to zupełnie zwyczajny pociąg
i wyglądał prawie jak autobus, bo też miał dużo żółtych porę-
czy i było w nim sporo ludzi. Niektórzy jechali na wycieczkę,
inni do pracy, a pozostali — nie wiadomo dokąd. Wsiadła do
niego też młoda dziewczyna. Ona również wyglądała zupełnie
zwyczajnie, była ubrana w długą zieloną kurtkę z kapturem
i dżinsy... — tata rozejrzał się. — Niestety nie ma jej w tym
autobusie. Dziewczyna usiadła, ale po chwili włączyła głośną
muzykę, wstała i zaczęła szaleć: tańczyć, rzucać się między sie-
dzeniami i robić fikołki!
Zrzuciła kurtkę, a zaraz potem ściągnęła spodnie i została
tylko w bluzce i spodenkach. Wieszkała się na poręczach, bujała
się na nich, wskakiwała na rurki i zjeżdżała po nich w rytm mu-
zyki. Biegła przez cały pociąg, wskakiwała na siedzenia między
podróżnymi i czołgała się po podłodze, jakby pokonywała tor
przeszkód. Albo jakby była zwinnym kotem uciekającym przed
goniącym ją psem.



Ludzie patrzyli bardzo zdziwieni, bo nie zdarza się często, że ktoś tańczy i fika koziołki w pociągu... Tak jakby to był nocny klub albo dzika dżungla, a nie nudny podmiejski pociąg.

— Tato, czy to była artystka? — zapytał Bartek.

— Tak, artystka. I wszystko to sfilmowała.

— A czy ona zapłaciła mandat?

— Ha, nie wiem! — zastanowił się tata. — Ale chyba za taki niezwykły występ należą się raczej oklaski niż mandat.

— Mamo, czy możemy zrobić fikołka?

— Nie, fikołka nie, ale możecie jakoś inaczej zaczarować autobus.

— Zaczarować autobus? — zdziwił się Bartek.

— Oczywiście! To nic trudnego. Nigdy nie próbowaliście zaczarować autobusu? — zdziwił się tata.

— Hokus-pokus, autobusie zaczaruj się! — krzyknął nagle Bartek. Machnął rękami i podskoczył na siedzeniu.

Rozejrzeliśmy się dookoła, ale wszystko wyglądało tak samo. Silnik warczał i nie było słycać żadnej muzyki. Poręcze były nadal żółte i nikt na nich nie tańczył.

— Tato, no i co?

— Ha! Spójrzcie, co się stało! — zawołał tata i zaczął naciskać palcem siedzenie. — To siedzenie jest z ciasta!

Zaczęliśmy z Bartkiem naciskać na nasze siedzenia, były miękkie, ale nie pachniały wcale jak ciasto.

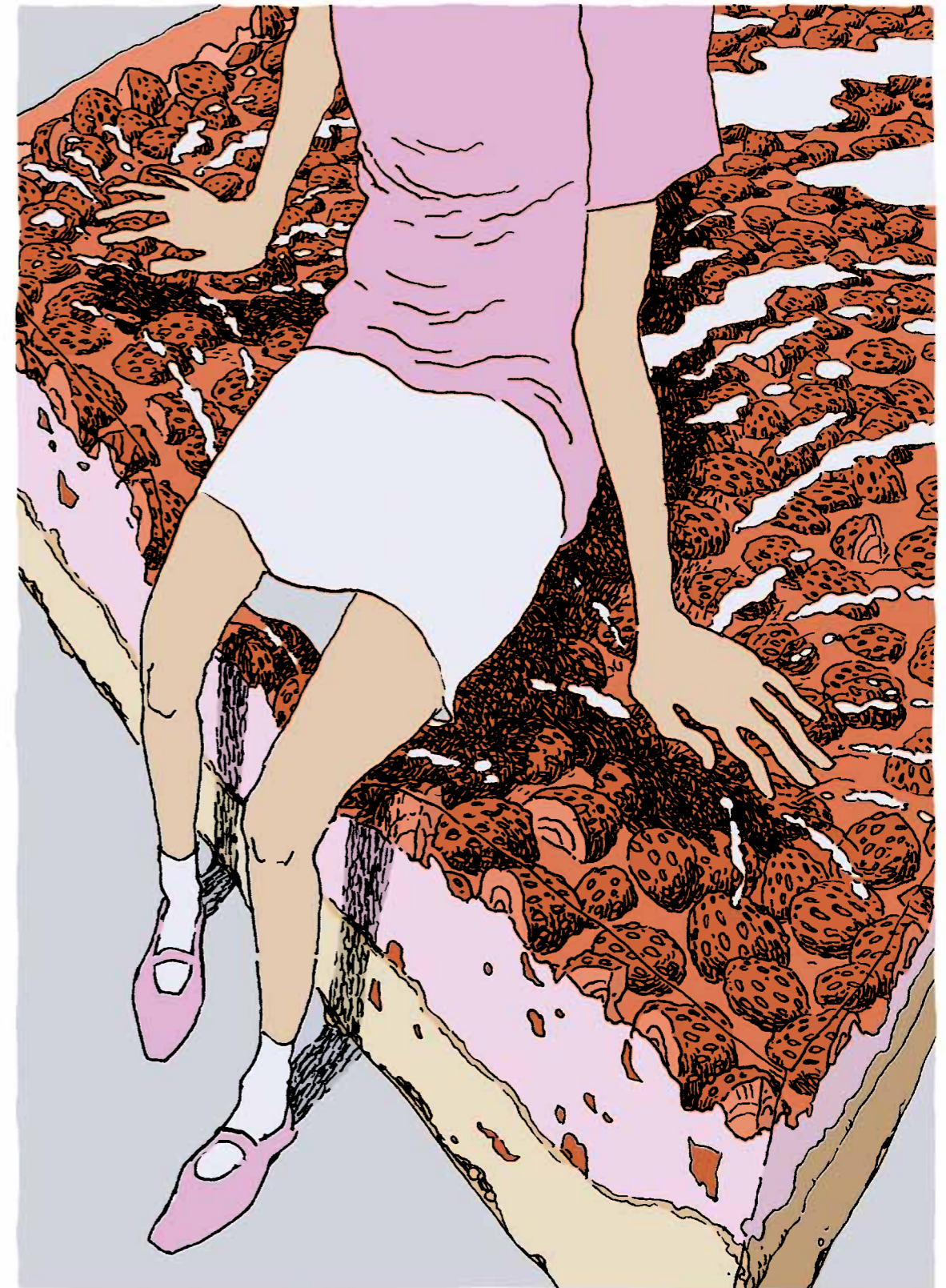
— Tato...

— A widzieliście to? — Tata chwycił żółtą poręcz.

— Patrzcie, ta poręcz jest zrobiona z sera!

— Tato, to nie jest przecież ser!

— Oczywiście, że ser, tylko twardy. To parmezan, można go utrzeć do spaghetti. A ta rama okienna jest z czarnej czekolady,



widzieliście wcześniej taką czarną czekoladę?

Pomyślałam, że tata się wygłupia, ale wtedy razem z mamą pochylili się nad ramą okna i zaczęli mlaskać.

— Pyszna! — ucieszyła się mama.

— Ja nie lubię czarnej czekolady! — krzyknął Bartek. — Jest gorzka!

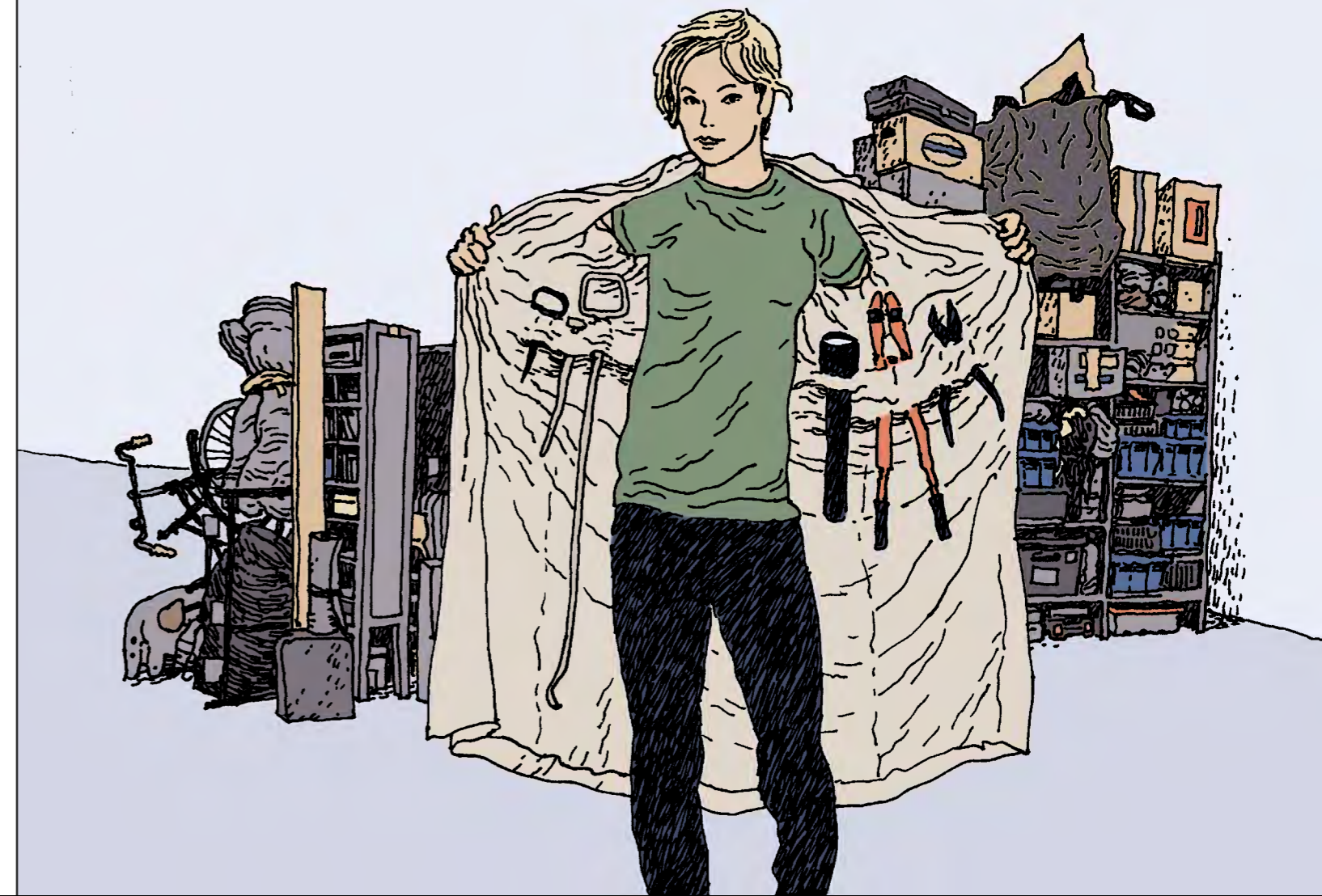
— To spróbuj tego ciasta — mama poklepała ręką po siedzeniu i przez chwilę wydawało mi się, jakby faktycznie siedziała na placku z owocami. Na takim, jaki piecze nam czasem babcia.

— Ojej, Bartek, naprawdę zaczarowałeś autobus! — zawołałam. — To wspaniale, jesteś artystą!

— Brawo, Bartek! — mama i tata zaczęli klaskać. — Tylko nie zaczynajcie tańczyć, bo zaraz wysiadamy!

Szkoda, bo właśnie miałam ochotę zatańczyć jak prawdziwa artystka z pociągu podmiejskiego, o której opowiadał nam tata. Dzięki niej podróż minęła szybko. I teraz, kiedy okazało się, że każdy autobus można zaczarować, będziemy to mogli robić zawsze. A kiedy się już natańczymy, to może nawet zjemy cały autobus. Taki autobus musi być pyszny. A złoty — jeszcze pyszniejszy!

KLARA LIDÉN urodziła się w Szwecji, ale mieszka na zmianę w Berlinie i Nowym Jorku, czyli w miastach, w których mieszka wielu artystów i artystek. Klara jest jedną z nich, a życie w wielkim mieście to ulubiony temat jej prac. Robi je z tego, co znajdzie na ulicach. W każdym mieście można łatwo znaleźć mnóstwo niepotrzebnych nikomu rzeczy. Kiedyś Klara zbudowała z nich niewielki domek nad rzeką. Artystka zbiera też metalowe kosze na śmieci, zrywa z płótów grube warstwy starych plakatów, a potem wiesza je jak obrazy na ścianach galerii. Na jednej ze swoich wystaw ustawiła w galerii gęsty las z uschniętych choinek, które ludzie wyrzucili po świętach na śmieci. Różne zużyte rzeczy, stare deski i kartony albo pozornie nudne miejsca — jak podmiejski pociąg czy autobus — są dla Klary najciekawsze. Z nich tworzy swoje własne, dzikie miasto.





Niepotrzebne zabawki

Siedzieliśmy z Bartkiem w naszym pokoju i przekładaliśmy pluszaki z jednego pudła do drugiego. Mama powiedziała, że mamy za dużo rzeczy i że nie dostaniemy żadnej nowej zabawki, dopóki nie oddamy tych, którymi się już nie bawimy. Znowu to samo! Przecież wszystkie zabawki są nam bardzo potrzebne! Za oknem padał deszcz i robiło się coraz bardziej nudno. Na szczęście zadzwonił domofon.

— Tato, kto to?! — zawołał Bartek.

— Tato, czy to kurier?! — krzyknęłam i wybiegliśmy z Bartkiem do przedpokoju.

Tata nie odpowiedział, tylko podszedł do drzwi i szeroko je otworzył. Za progiem ktoś stał, ale nie było go dokładnie widać, bo był zasłonięty wielkim kartonowym pudłem. U dołu wystawały spod niego nogi w białych tenisówkach.

— Bardzo proszę, tutaj do pokoju — powiedział tata i razem z tym kimś, kogo nie było widać, chwycili pudło.

Pobiegliśmy oczywiście za nimi.

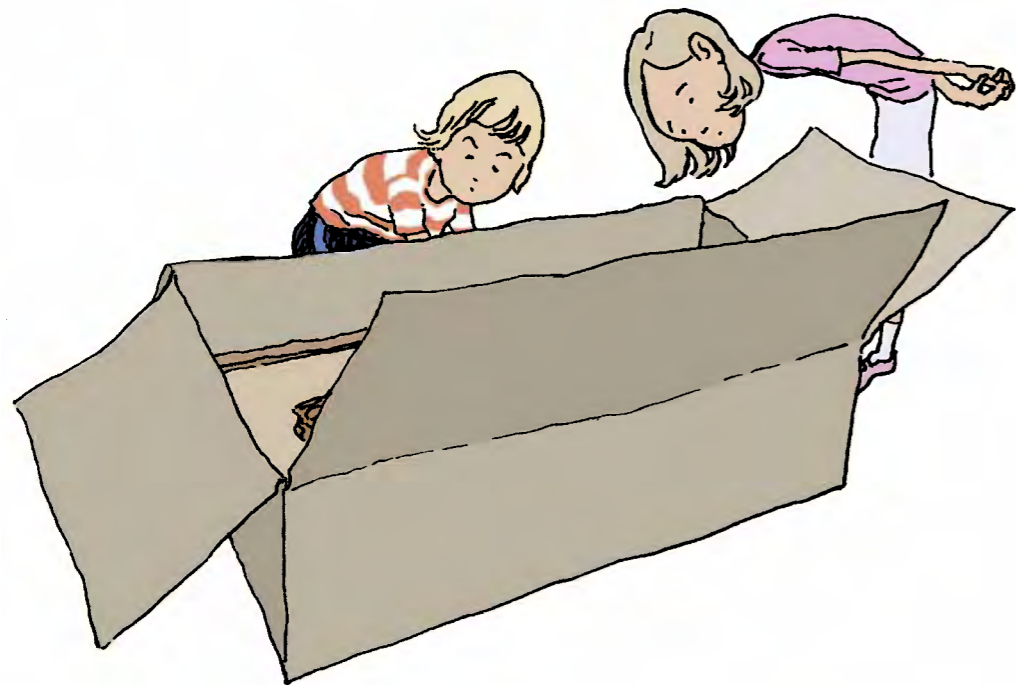
Okazało się, że to była pani! Razem z tatą postawili paczkę na podłodze. Potem pani wyciągnęła z torebki nożyk i rozcięła taśmę, którą zaklejone było pudło. Otworzyła je i odwinęła cienki biały materiał. Potem pani i tata pochylili się, wpatrywali przez chwilę w coś, co było w środku, i pokiwali głowami.

— Wszystko w porządku! — powiedział w końcu tata.

— Jeszcze raz dziękujemy za wypożyczenie — odpowiedziała pani i podała tacie jakąś kartkę. — Proszę jeszcze tylko pokwitować odbiór.

— Odprowadzę panią — powiedział tata, podpisując dokument.

Nie mogliśmy już wytrzymać z ciekawości, więc gdy tylko dorośli wyszli do przedpokoju, podeszliśmy z Bartkiem do tego tajemniczego pudła.



W środku leżał obraz. Był złoty i nie wyglądał wcale jak normalny obraz. Był obciążony błyszczącą złotą tkaniną i posklejany z różnych rzeczy. Z jednego boku wystawały równo przycięte druty i czarna koronka, która je zasłaniała. Na środku była przyczepiona okrągła szklana miska, a pod nią — mała goła lalka. Nad miską przyklejone były jasne włosy, a z drugiej strony zawieszono koraliki, wskazówka od jakiegoś starego zegara, mały blaszany konik i plastikowy żołnierz.

— Tato, a co to jest? — zapytał Bartek, gdy tylko tata pojawił się z powrotem w pokoju.

— Hasior. Wrócił do nas z wystawy w muzeum.

— Hasior? Co to jest hasior? — zapytaliśmy jednocześnie, bo bardzo nas zdziwiło to słowo.

— Nie co, tylko kto. Hasior to artysta, który zrobił ten obraz — tata powoli wyjął go z pudełka i ostrożnie położył na stole. — Podoba się wam?

Najciekawsza była ta mała lalka.

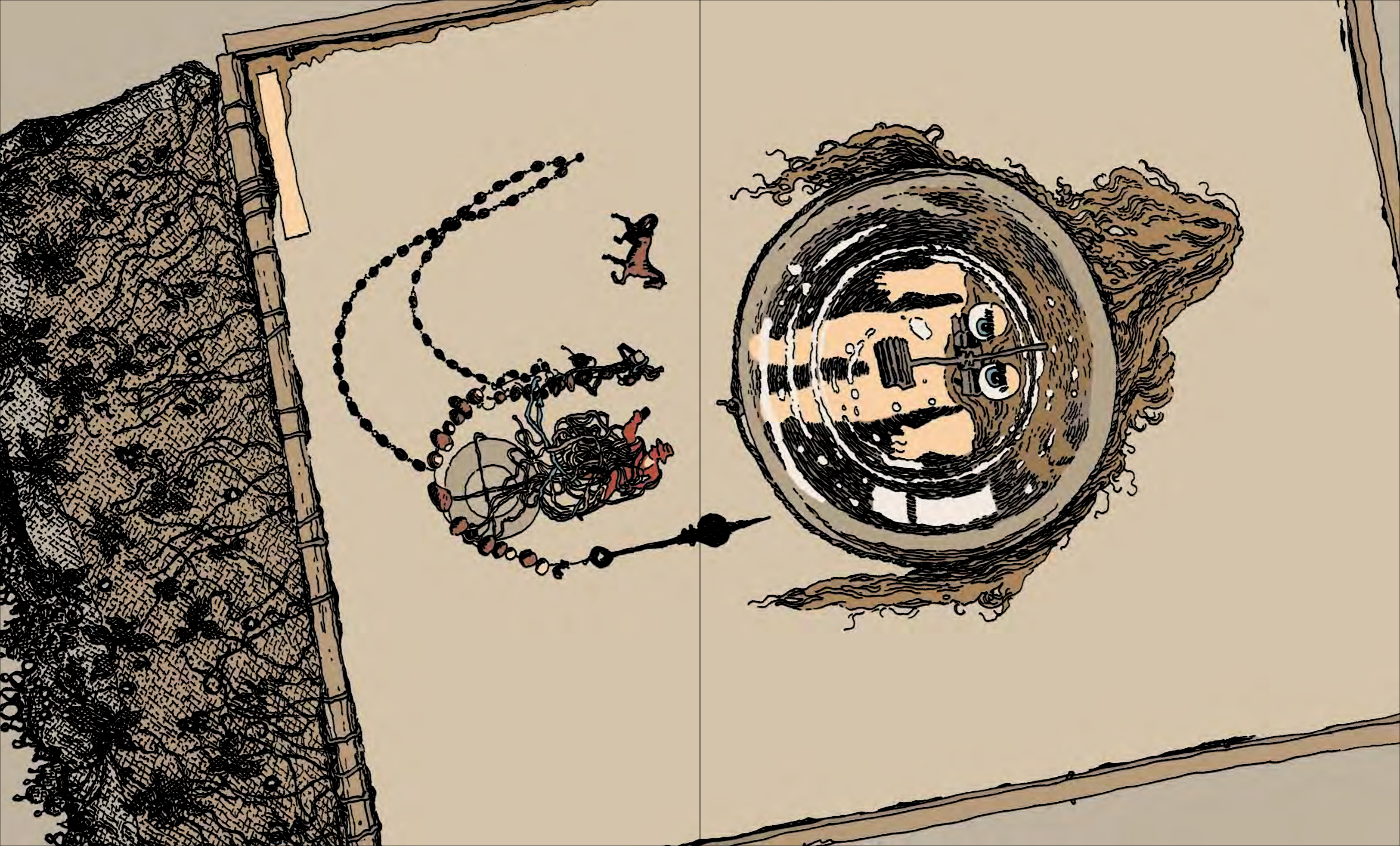
— A dlaczego ta lalka tu leży? — zapytał Bartek.

— Hasior tak to sobie wymyślił. Ta miska to taki szklany brzuch, a w nim leży lalka, czyli Wenus, która się jeszcze nie urodziła.

— A kiedy się urodzi? — zapytałam i od razu pomyślałam, że byłoby wspaniale, gdyby ta Wenus urodziła się u nas w domu.

— Hmm... — zamyślił się tata. — Myślę, że nieprędko. Mamy tego Hasiora już kilka lat i jak na razie nie zanoszą się na poród. Prawdę mówiąc, jeszcze nigdy nie słyszałem, żeby obraz urodził dziecko.

Tata pochylił się nad obrazem — wyglądało na to, że bardzo go lubi.



Bartek od razu wyciągnął spod łóżka rozwaloną tablicę do rysowania kredą. Potem wygrzebał z jednego z pudeł plastikowego dinozaura pomazanego flamastrami. To był dinozaur, którego dostał niedawno od dziadka. Na koniec wziął urwany sznurek od mojej skakanki i próbował przywiązać nim dinozaura do tablicy. Całkiem nieźle mu to wychodziło!

Ja wyjęłam spod z łóżeczka dla lalek. Owinęłam go cienkim różowym szalem, który mama pożyczyła mi kiedyś na chwilę. Do tego różowego koloru pasował mój brzydki pluszowy miś. Dostałam go na pocieszenie, kiedy Bartek miał urodziny. Położyłam teraz misia na szalu i przykryłam go przezroczystym plastikowym pudełkiem, w którym babcia przyniosła nam wczoraj drożdżówki. Mieliliśmy jeszcze trochę kolorowej taśmy klejącej. Podklejaliśmy więc do naszych obrazów dużo innych drobiazgów: małego żółtego garbuska, drewnianą świnkę z Zakopanego, ułamane plastikowe grabki i łabędzia, którego tata złożył mi kiedyś z papieru.

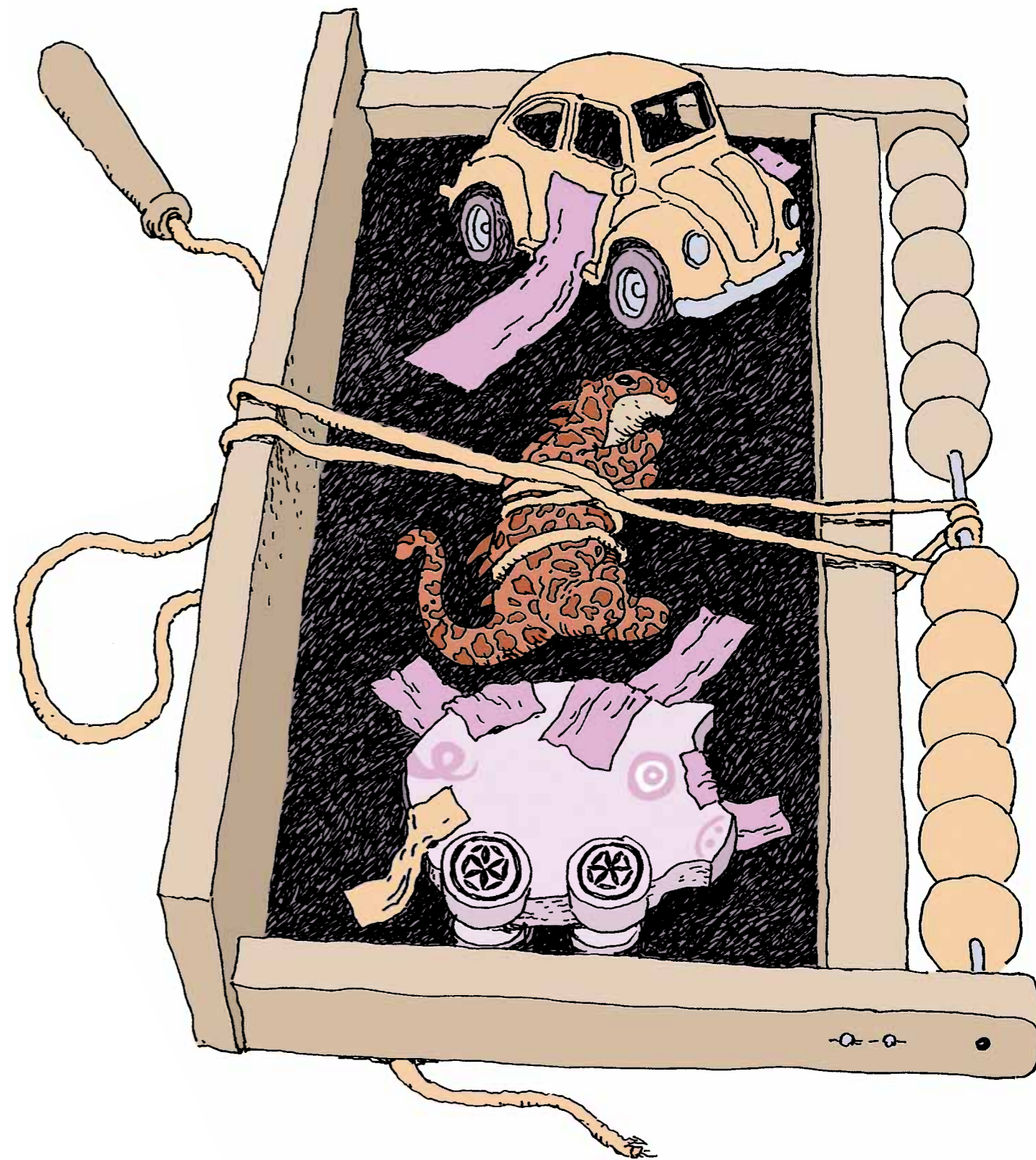
Obrazy wyszły świetne — od razu pobiegliśmy z nimi do kuchni. Mama siedziała przy stole i piła herbatę.

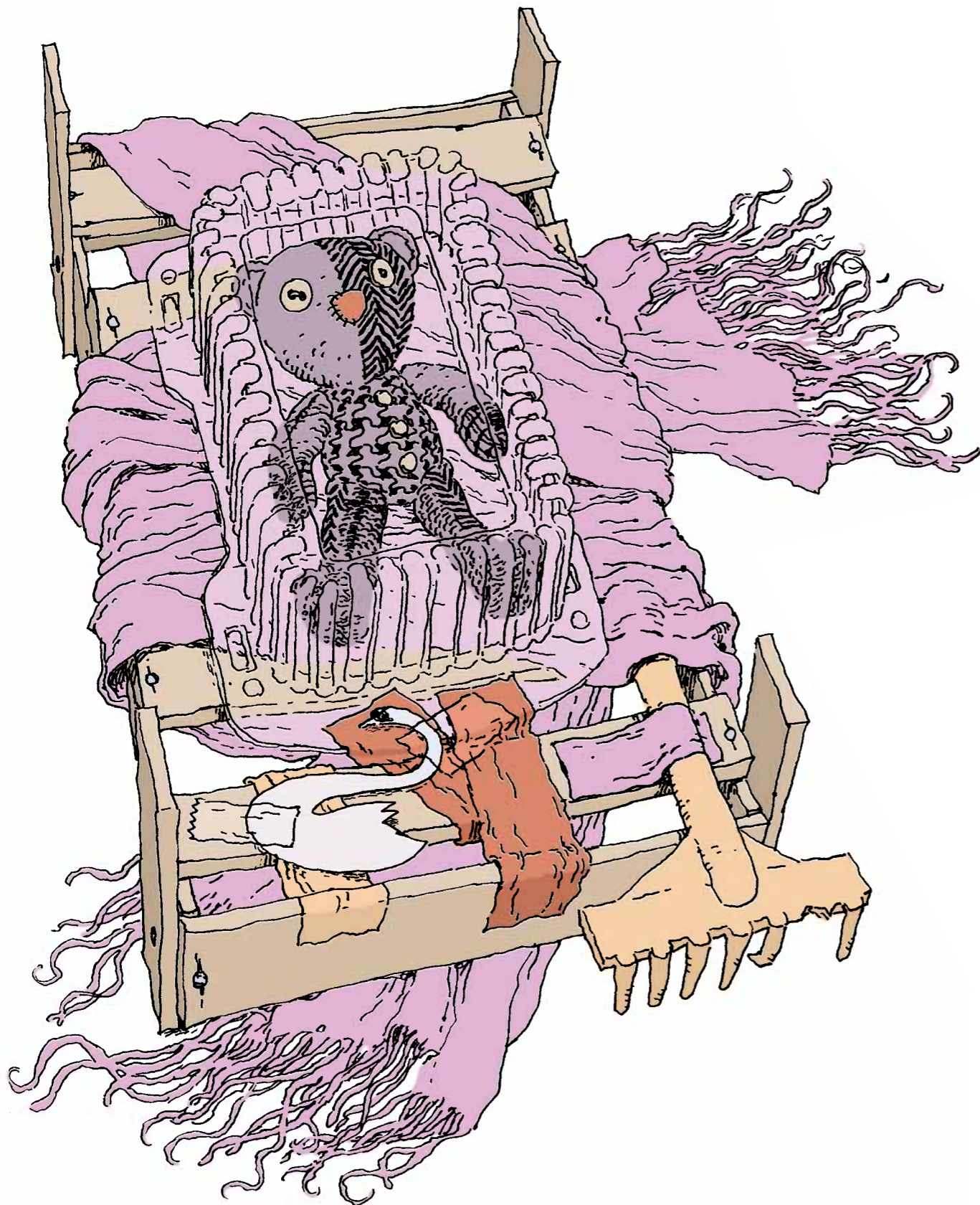
— Zobacz, co zrobiliśmy! — zawołał Bartek. — Hasiory!!!

— Co takiego?

— Hasiory!!!

— Aaa, hasiory, no tak, widzę. Wspaniałe! — ucieszyła się mama. — Proszę, proszę, ile to fantastycznych rzeczy można zrobić z niepotrzebnych zabawek!





— Mamo, ale to wcale nie są niepotrzebne zabawki! — zdenerwowałam się trochę. — Widzisz przecież, jak bardzo się przydają! Mamo, a czy Hasior też robił obrazy z rzeczy, którymi już się nie bawił?

— Robił je z tego, co już nikomu nie było potrzebne albo co wyglądało na niepotrzebne. Czasem nawet zbierał śmieci, a czasem kupował różne przedmioty na bazarach i w sklepach z tanimi albo używanymi rzeczami.

— Naprawdę zbierał śmieci?! — ucieszyłam się, bo my z Bartkiem też bardzo lubimy zaglądać do śmieci. Ze śmieciami jest dokładnie tak samo jak z dotykaniem obrazów: trzeba to robić, kiedy nikt nie patrzy, inaczej dorośli bardzo się denerwują.

— No tak... W śmieciach czasem można znaleźć dużo ciekawych rzeczy... — mama podrapała się w głowę i nagle zawołała:

— Bartek, odejdz, proszę, od szafki! Nie zgadzam się, żebyś grzebał w śmieciach!

— Mamo, ale przecież powiedziałaś, że Hasior zbierał śmieci — bronił się Bartek.

— Hasior był dorosły i był artystą... — zaczęła mama, ale Bartek od razu jej przerwał:

— A czy trzeba być dorosłym, żeby być artystą?

— Nie, ale jak się jest takim młodym artystą jak ty, to trzeba się słuchać rodziców.

— A dlaczego Hasior zbierał śmieci? — zapytałam.

Mama popatrzyła się na nas i powiedziała:

— On lubił różne zepsute i niepotrzebne rzeczy. Uważał, że to wspaniałe, że można ich jeszcze raz użyć i zrobić z nich coś niezwykłego — na przykład obrazy.

Zamienić coś zwyczajnego i nieciekawego, jak stary widelec, w coś ważnego.

— Nawet widelec ze śmieci? — zdziwił się Bartek.

— Tak, nawet ze śmieci...

— Mamo, mamy ważne pytanie!

— Tak?

— Kupisz nam więcej niepotrzebnych zabawek? — zapytałam, a Bartek od razu powtórzył za mną:

— Mamo, kupisz nam więcej niepotrzebnych zabawek?

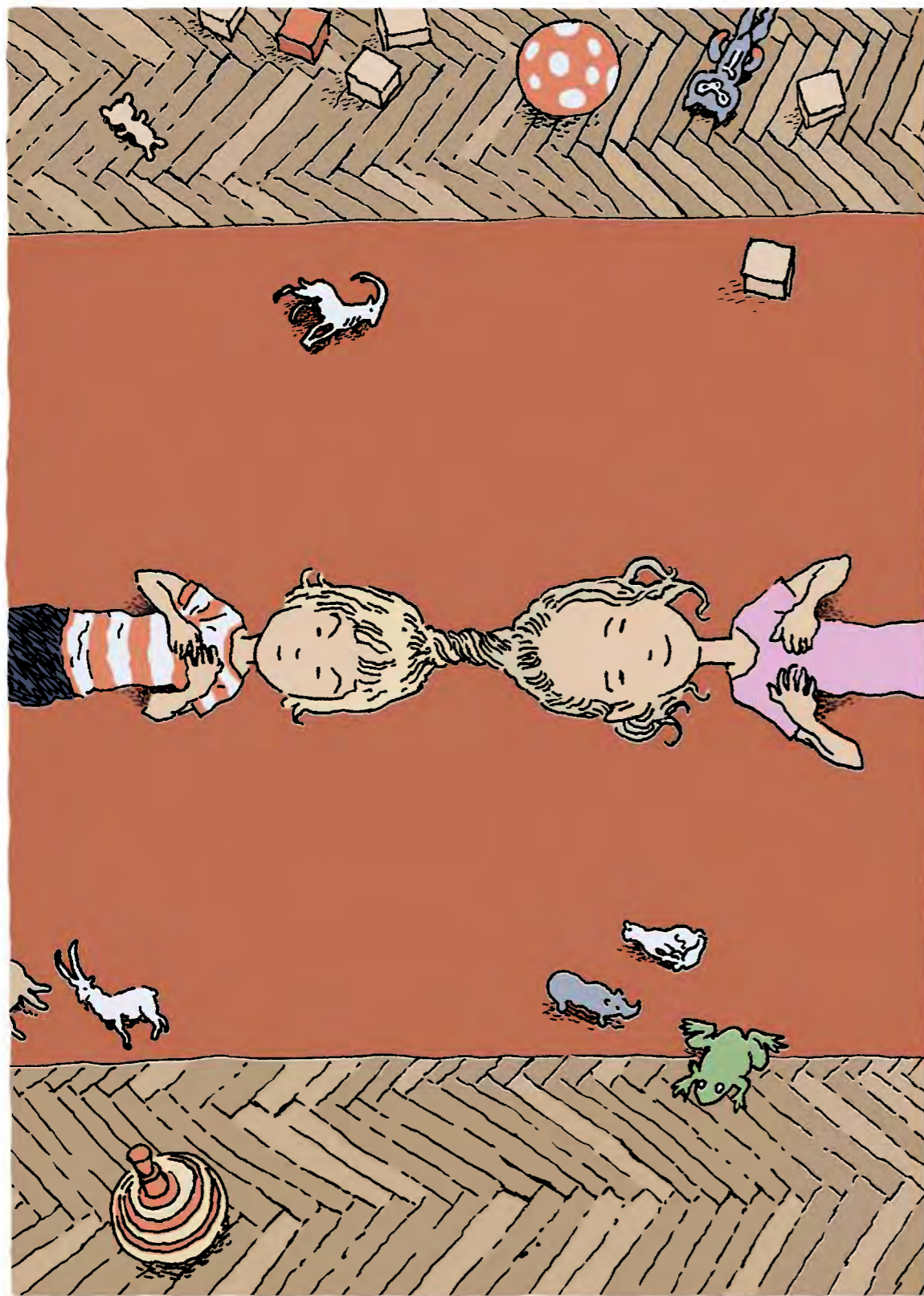
— I śmieci! — zawołaliśmy razem.

Mama zamiast odpowiedzieć, zaśmiała się tylko i zawołała tatę. Wspólnie obejrzelі nasze hasiory, coś tam jeszcze do siebie mówili i cały czas się uśmiechali. Myślę, że rodzice naprawdę lubią obrazy, nawet te ze śmieci.

Chociaż samych śmieci nie lubią wcale.

WŁADYSŁAW HASIOR mieszkał w górach, w Zakopanem, w wielkim drewnianym domu. Urządził w nim pracownię pełną najróżniejszych i najdziwniejszych przedmiotów, z których składał obrazy i rzeźby. Chętnie przyjmował w niej gości, którym opowiadał o swoich odkryciach: przydrożnych kapliczkach, strachach na wróble, płótkach i huśtawkach z opon albo domach ozdobionych potłuczonymi talerzami. Hasior uważał, że wszędzie dookoła nas jest mnóstwo fantastycznych rzeczy, które są gotowymi rzeźbami albo obrazami, chociaż wcale nie zostały zrobione przez artystów. Najbardziej lubił chodzić w swetrze, a swoje stare swetry często wklejał do obrazów. Wystawy urządzał nie tylko w galeriach, ale i na łąkach. Raz zaprosił strażaków, aby nieśli jego obrazy jak sztandary przez wieś i pola. Hasior lubił takie artystyczne akcje z udziałem ludzi, wiatru, wody i ognia. Zbudował nawet kilka pomników i rzeźb, przez które przepływa woda i na których można rozpałać ogniska.





Ciasteczka z Chińskiego Muru

Rodzice siedzieli w kuchni, a my z Bartkiem bawiliśmy się w pokoju w rozplątywanie włosów. Mama zawołała:

— Matyllda, może pójdziesz z tatą do sklepu? Kupcie mąkę, to upieczemy ciasteczka.

— Tak, mamo! — ucieszyłam się i pobiegłam od razu do kuchni.

Tata siedział przy stole i coś notował.

— Co mamy jeszcze kupić? — zapytał.

Wtedy przybiegł Bartek, który zawsze za mną biega i chce robić dokładnie to, co ja.

— Ja też chcę iść do sklepu! — zawołał.

— Dobrze, możemy pójść we trójkę — zgodził się tata.

— Nie! Ja chcę z mamą iść do sklepu!

— No dobrze, możemy iść wszyscy razem — zgodziła się mama. — Ale Bartek, idziemy na piechotę i uprzedzam,

że nie będę cię niosła na rękach, tak?

— Tak! — zgodził się Bartek.

Pobiegliśmy do przedpokoju wkładać buty. Tata zabrał torbę i listę zakupów, a mama — swoją małą torebkę.

Kiedy wyszliśmy na ulicę, okazało się, że Bartek wcale nie chce iść na piechotę.

— Bolał mnie nóżki, chcę na ręce!!! — krzyczał.

— Barteczku, ale przecież umówiliśmy się, że każdy idzie na własnych nóżkach, prawda? — przypomniała mama, ale Bartek kucnął i zaczął płakać.

— Bartek, przecież do sklepu jest bardzo blisko, no chodź! To tylko do końca tej ulicy, a potem kawałek drugą ulicą — chciałam przekonać brata, ale to nie pomagało. Bartek usiadł na chodniku i dalej płakał. Wtedy tata kucnął obok niego i zapytał:

— Synku, a czy ty słyszałeś już o Wielkim Murze Chińskim?

Chiński Mur? Nigdy wcześniej o czymś takim nie słyszeliśmy, ale Bartek położył się na plecach. Teraz już nie płakał, tylko wył.

— Tato, co to jest Chiński Mur? — zapytałam, przekrzykując brata.

— Bartek, wstań, proszę, to opowiem wam o Chińskim Murze. Ale o tym murze można słuchać tylko, gdy się idzie na własnych nogach — wyjaśnił tata.

— Bartek, wstań, ja chcę posłuchać o Chińskim Murze! — zawołałam.

Bartek na szczęście zrozumiał, bo przestał płakać, wstał i powoli zaczął iść. Trzymał mamę za rękę. Ja chwyciłam za rękę tatę, a tata zaczął opowiadać.

Powiedział, że w Chinach, czyli bardzo daleko od naszego domu, jest mur. Ten mur zbudowali Chińczycy dawno temu, żeby odstraszać sąsiadów, którzy na nich napadali. Mur jest nie tylko wielki, ale też bardzo, bardzo długi — najdłuższy na świecie. Ciągnie się przez cały kraj — od morza aż po pustynię.

— Tato, a czy po tym chińskim murku można chodzić? — zainteresował się Bartek.

— Można, bo to nie murek, ale wielki mur. Jest całkiem szeroki.

— To ja chcę po nim iść! — zawołał Bartek.

— Naprawdę? — zdziwił się tata. — To najpierw spróbujmy dojść do sklepu. Już cię nóżki nie bolą?

— Nie bolą!

— A czy ten mur jest dłuższy niż droga od naszego domu do sklepu? — zapytałam.

— O wiele, wiele dłuższy! — powiedziała mama.





— Droga do sklepu zajmuje pięć minut, a przejście całego muru — pół roku, i to jeśli będziesz maszerować codziennie od rana do wieczora — wyjaśnił tata.

— Tato, a czy ktoś już kiedyś przeszedł cały ten mur?

— Tak, nie raz, ale opowiem wam o Marinie i Ulayu.

— O ulaju? Co to ulaj? — zdziwił się Bartek.

— Ulay. To imię, a właściwie takie przydomko — odpowiedział tata i zaczął opowiadać — Marina i Ulay to artyści. Pracowali i żyli razem przez dwanaście lat. Robili wspólnie performansy w galeriach i muzeach, podróżowali, a nawet mieszkali w samochodzie. Zawsze razem. Ale nadszedł dzień, w którym postanowili się rozstać. Zdecydowali wtedy, że na pożegnanie zrobią coś naprawdę wyjątkowego: przejdą na piechotę cały Wielki Mur Chiński. Ale osobno. Będą szli samotnie z dwóch różnych jego końców. Marina wyruszyła znad morza i szła w stronę pustyni, a Ulay — odwrotnie. Zaczął z pustyni i szedł w stronę morza.

Marina miała czerwoną kurtkę, a jej długie czarne włosy powiewały na wietrze. Ulay włożył niebieską pelerynę, a ponieważ wiatr był momentami porwisty, naciągał na głowę kaptur. I tak sobie szli, szli i szli, dzień po dniu po murze, a czasami wzdłuż jego resztek, w górę i w dół, bo mur prowadzi przez wysokie wzgórza. Niewiele osób mijali po drodze. Najczęściej byli to miejscowi pasterze, a tylko w niektórych miejscach turyści, którzy przyjeżdżają autobusami, żeby pospacerować po słynnej budowli. Na noc Marina i Ulay schodzili do wiosek w pobliżu muru, by znaleźć miejsce do spania, a rano znowu ruszali w drogę. Powoli, dzień po dniu, zbliżali się do siebie. Wreszcie, po dziewięćdziesięciu dniach marszu spotkali się pośrodku muru.



— Równo pośrodku? I co zrobili?

— Najpierw, jeszcze z oddali, pomachali do siebie flagami

— Marina niosła czerwoną, a Ulay — białą. Kiedy stanęli twarzą w twarz, objęli się i uścisnęli mocno. Byli wzruszeni i ciężko im było nawet dłużej porozmawiać. To był już koniec ich wspólnego życia. Rozstali się.

— Ale spotkali się dokładnie w połowie muru? — upewniałam się.

— Tak. Szli trzy miesiące. Marina przeszła połowę i Ulay przeszedł połowę.

— Dlaczego szli trzy miesiące? Ten mur jest naprawdę taki długi?

— Naprawdę, Matyldo — odpowiedział tata.

— Ale dlaczego się rozstali?

— Bo już nie chcieli być razem. Może się już nie kochali albo nie mieli żadnych pomysłów, co mogliby razem robić?

— Tato, oni byli artystami, prawda? Dlatego przeszli na piechotę mur?

— Tak. Artyści słyną z tego, że robią często różne rzeczy, na które inni ludzie nie mają ochoty albo siły, albo czasu. Nie każdy może przez trzy miesiące wędrować po Chińskim Murze.

— Dlaczego nie każdy może?

— Bo pracuje, bo boi się, że nie da rady tyle przejść, bo może myśleć, że to nie jest mądry pomysł, bo nie wie, po co...

— Żeby się rozstać! — zawołałam.

Bartek nagle stanął i wrzasnął bardzo głośno:

— Ja nie chcę się rozstać!



— Bartek, my się nie rozstajemy — uspokoiła go mama.
— Zobacz, my idziemy wszyscy razem, w jednym kierunku.
— Do sklepu? — zapytał Bartek.
— Tak, do sklepu po mąkę, nie na Chiński Mur. O, to już tu! Dzielnie maszerowałaś! — powiedział tata i otworzył przed nami drzwi sklepu.

Zanim weszłam do środka, zapytałam:

— Tato, a jak artyści chodzą po Chińskim Murze, to nie chodzą do sklepu?

— Myślę, że do sklepu też chodzą — tata się uśmiechnął.

— Artyści też muszą jeść i pić, bez tego nie mieliby siły chodzić, a gdyby nie chodzili, nie powstałoby wiele pięknych historii jak ta o murze...

— I wtedy Bartek nie doszedłby do sklepu! — zawołałam.

Wszystko zrozumiałam. A w domu upiekliśmy kruche ciasteczka w kształcie Mariny i Ulaya. Ciasteczka maszerowały po stole, spotykały się po środku, Bartek zatykał w nie białe i czerwone chorągiewki, a potem każde szło w swoją stronę. Były pyszne!

MARINA ABRAMOVIĆ i **ULAY** poznali się w Amsterdamie, chociaż żadne z nich nie pochodziło z Holandii. Marina urodziła się w Jugosławii, a Ulay — w Niemczech. Przez dwanaście lat działali wspólnie jako artyści i performerzy. Dużą część tego czasu spędzili na podróżach, mieszkali i jeździli po całej Europie starą furgonetką. Do swoich artystycznych działań używali własnych ciał. Na przykład rozbierali się i stawali nago w wejściu do galerii, tak że każdy, kto wchodził lub wychodził, musiał się między nimi przeciskać. Kiedy indziej, przez siedemnaście godzin siedzieli nieruchomo związani ze sobą własnymi włosami. Po rozstaniu z Ulayem Marina sama robiła kolejne performansy. Podczas wystawy w Nowym Jorku przez dwa i pół miesiąca przychodziła codziennie rano do muzeum i do wieczora siedziała nieruchomo na krześle w holu. Każdy mógł podejść, usiąść na przeciwko Mariny i patrzeć się jej w oczy. Przed muzeum ustawiały się długie kolejki — tak wiele osób chciało osobiście spotkać się sam na sam z artystką.





O artystce, która uszyła sobie córkę

Leżeliśmy w łóżkach. Mama właśnie zgasiła światło, co znaczyło, że nie będzie już dzisiaj czytania książek. Na szczęście Bartkowi przypomniało się coś ważnego.

— Tato, czy dzisiaj jest piątek? — zapytał.

— Tak, dzisiaj jest piątek — odpowiedział tata, który przyszedł życzyć nam dobrej nocy.

— A! To świetnie! To dzisiaj jest twój dzień opowiadania bajki! — zawołał Bartek i usiadł na łóżku.

— Ach, faktycznie — tata złapał się za głowę — dobrze, że mi przypomniałeś. Niech no pomyślę, o czym będzie dzisiejsza bajka... Może o artyście, który malował obrazy, biegając po pokoju z puszką farby?

— O nie, tato! — zaprotestowaliśmy od razu.

To była ulubiona bajka taty. Opowiadał ją już tyle razy, że dawno przestała nam się podobać. A dokładniej

— nie podobała nam się od czasu, kiedy tata powiedział, że w naszym mieszkaniu nie wolno rozlewać farby po podłodze. To niesprawiedliwe, dlaczego artysta może, a nam nie wolno? Tata opowiadał, że ten malarz rozkładał płótno na podłodze i biegał po nim dookoła z przedziurawioną puszką pełną farby. Sprawdziliśmy z Bartkiem — to świetna zabawa! Rozmieszaliśmy wszystkie nasze farby w wodzie i waliśmy do foliowych worków. Zawiązaliśmy je, a od dołu zrobiliśmy nożyczkami małe dziurki. Biegaliśmy z tymi workami po pokoju; farba kapiała z nich cały czas, i na podłodze robiły się wielkie kółka i kolorowe węże. Super! No i wtedy właśnie tata powiedział, że musimy natychmiast wszystko posprzątać.

— Tato, opowiedz nam taką bajkę, jakiej jeszcze nigdy nam nie opowiadałeś — poprosiłam.

— No dobrze, to opowiem wam o... — tata się zastanawiał, a może ziewał, bo wieczorem tata często ziewa, a czasem nawet zasypia przed nami.

— Tato, nie śpij! — Bartek krzyknął tak głośno, że tata aż podskoczył.

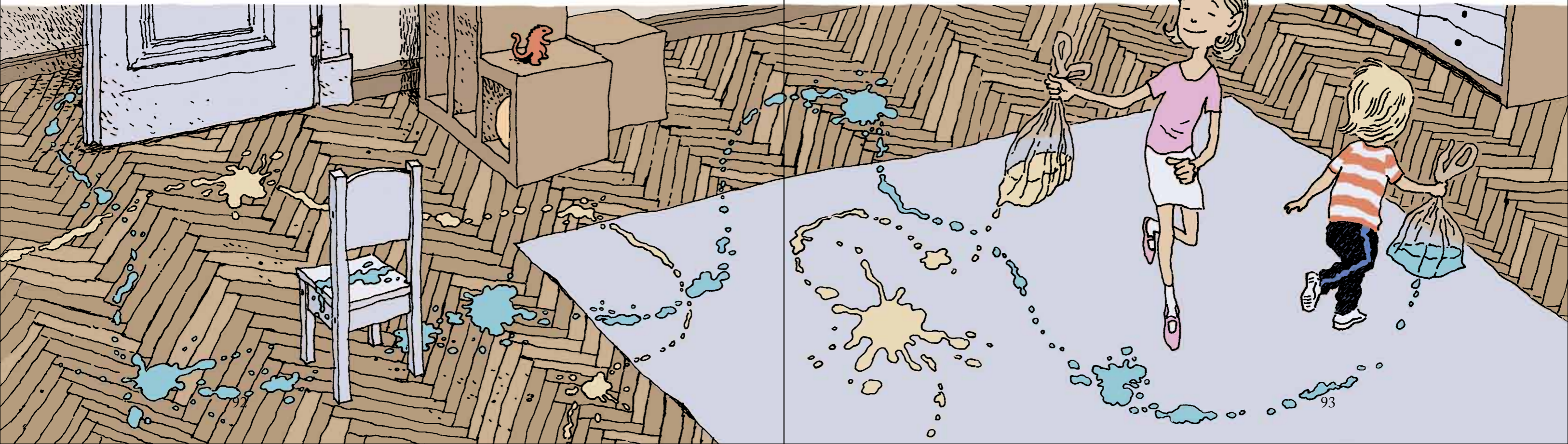
— Dobrze! To opowiem wam o artystce, która uszyła sobie córkę.

— Czy to prawdziwa bajka? — zapytałam.

— Hmm... Tak, córeczko, to najprawdziwsza bajka, która wydarzyła się naprawdę. Posłuchajcie!

Tata usiadł na podłodze między naszymi łózkami i zaczął opowiadać:

— Była sobie artystka, która umiała robić piękne zdjęcia, umiała kręcić piękne filmy i umiała też pięknie szyć.



Wiele osób się dziwiło, skąd ona potrafiła tak dobrze szyć, skoro nigdy nie chodziła do szkoły krawieckiej. A prawda była taka, że to mama nauczyła ją szycia. Artystka nie była wtedy jeszcze artystką, tylko małą dziewczynką. Pewnego razu przydarzył jej się przykry wypadek. Dziewczynka chciała uszyć sobie nową zabawkę. Miał to być wypchany szmatkami czarny diabełek. Siedziała obok mamy i nicią nawleczoną na igłę powoli zszywała ze sobą dwa kawałki czarnego filcu. Nagle jej młodszy brat potracił ją niechcący, a ręka z igłą omsknęła się dziewczynce tak nieszczęśliwie, że ukłuła mocno brata. Było to bardzo bolesne skaleczenie, które długo nie chciało się zagoić.

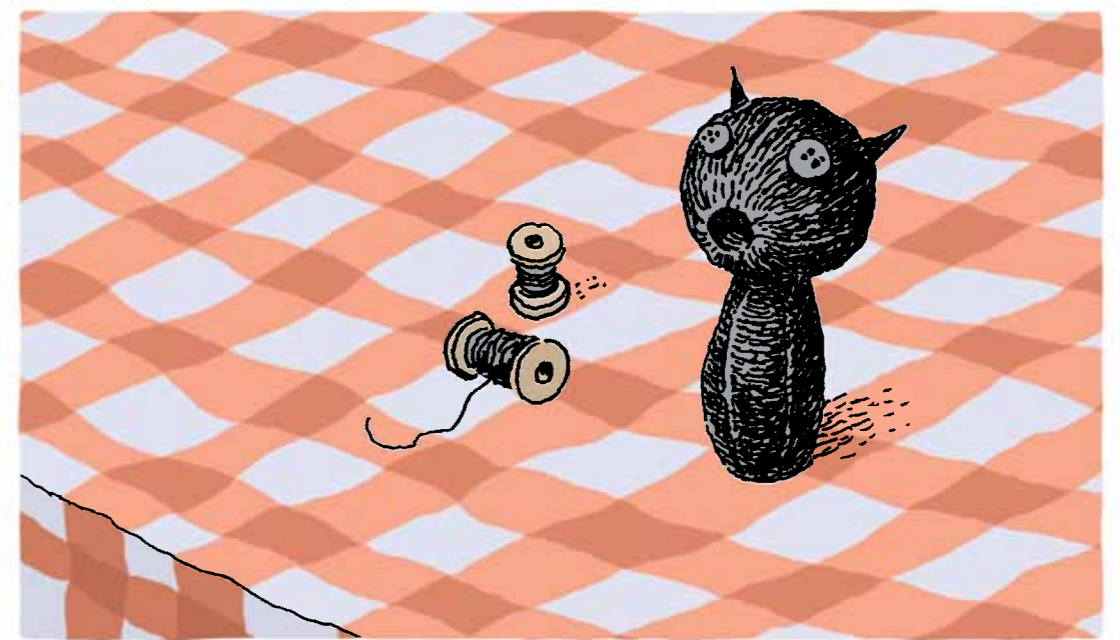
Kiedy dziewczynka dorosła i została artystką, wciąż pamiętała tamto zdarzenie. Postanowiła, że jeszcze raz uszyje takiego diabełka, już nie jako zabawkę, ale wspomnienie tego, co się kiedyś stało. A kiedy diabełek był gotowy, pomyślała, że uszyje też siebie z tamtego czasu. I tak zaczęła robić czarne lalki...

— Tato... ale dlaczego te lalki były czarne? — zapytał cicho Bartek, który uważał, że czarny kolor jest straszny i nie wolno go w ogóle używać.

— Zaraz powiem. Te lalki nie były zwykłymi lalkami. Każda z nich przedstawiała małą dziewczynkę i była tak duża, jak duże są małe dziewczynki. Lalki uszyte były z czarnego materiału na wzór starych zdjęć z rodzinnego albumu artystki. Wyglądały trochę, jakby były cieniami małych dziewczynek, cieniami tego, co się kiedyś wydarzyło...

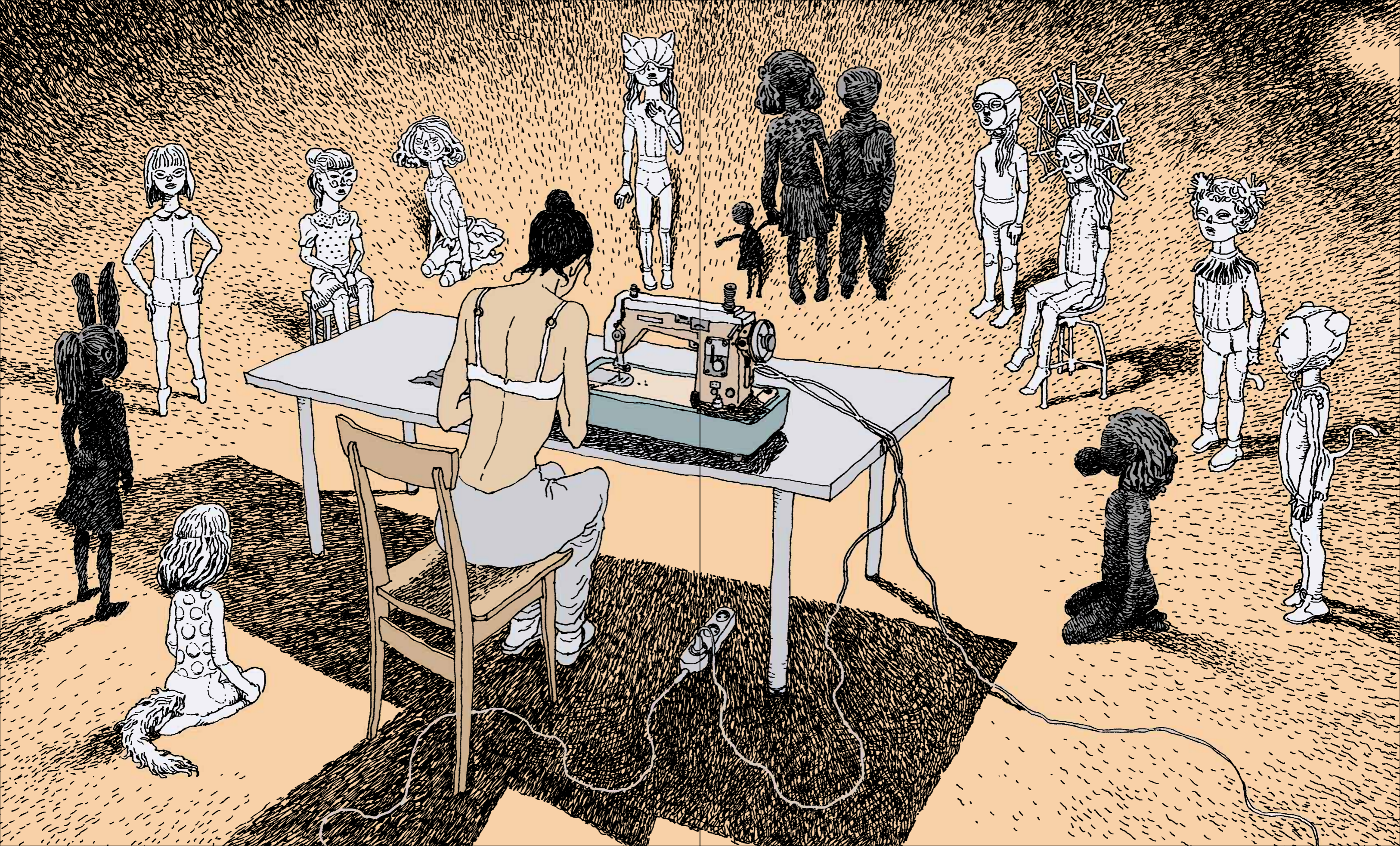
— Czy ona myślała, że wszystko, co było kiedyś, jest czarne? — zapytałam.

— Możliwe! Czasem, gdy czegoś nie pamiętamy, to mówimy, że to coś tonie w mrokach niepamięci...



— Tato! Dlaczego tonie? W czym tonie?

— Nie tonie naprawdę, tak się tylko mówi. Jeśli coś tonie w mroku, to znaczy, że znika, że już dobrze tego nie widać. Jak po zmroku, kiedy jest ciemno i wydaje się, że wszystkie rzeczy dookoła są czarne jak cienie. Ale posłuchajcie dalej. Ta artystka miała narzeczonego. Mieszkali razem, razem robili zdjęcia i kręcili filmy. A wieczorami, kiedy byli już zmęczeni pracą, ona siadała w fotelu i szyła swoje lalki. Z czasem poczuła jednak, że nie chce być dłużej taką smutną artystką, co robi tylko czarne rzeczy z przeszłości. Niedługo potem okazało się, że jest w ciąży. Artystka była bardzo szczęśliwa i niebawem urodziła piękną dziewczynkę, której nadali imię Franciszka. A kiedy malutka Franciszka troszkę podrosła, stała się małą Franką. Wtedy mama-artystka postanowiła znowu zabrać się do szycia lalek. Ale te lalki nie były już czarne. Teraz artystka szyła je z białego filcu.



— Tato, czy te lalki były białe? — upewnił się Bartek.

— Tak, te nowe lalki były białe, ale one też nie były zwyczajnymi lalkami... — odpowiedział tata.

— Tato, a dlaczego one były białe?

— To wy zgadnijcie, dlaczego były białe... Nie domyślacie się? To wam powiem. Były białe, bo to nie były już lalki z przeszłości. Teraz to były lalki z przyszłości. Każda z nich przedstawiała dziewczynkę — Frankę — i każda z nich była trochę większa od poprzedniej. Ale nie wszystkie było łatwo rozpoznać, bo miały uszyte maski, na przykład kotka albo myszki.

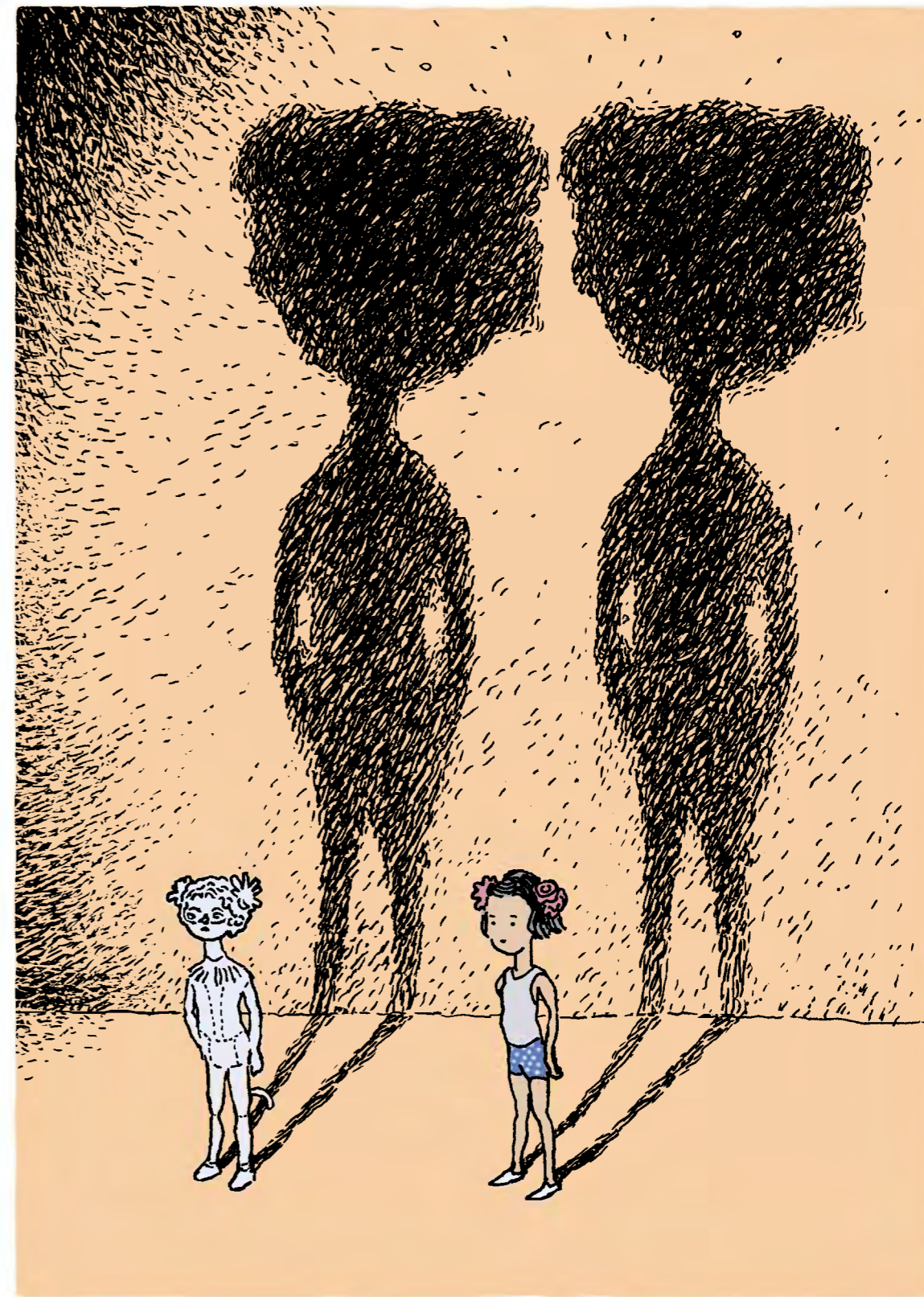
— Dlaczego miały maski? — zdziwiłam się.

— Bo niektóre lalki wybierały się na bal maskowy.

Pokazywały, jak Franka będzie wyglądać w balowym przebraniu za pięć, siedem albo dziesięć lat.

— Tato, a ta artystka wiedziała, jak jej córeczka będzie wyglądać za pięć lat?

— To posłuchajcie. Minęły dwa lata i mała Franka była już w takim wieku, że stała się tak samo duża jak pierwsza z białych lalek. Artystka ubrała wtedy Frankę tak samo, jak ubrana była lalka, i poprosiła, żeby stanęła dokładnie tak jak ona. Nie było to proste, bo lalka była nieruchoma, a Franka bardzo lubiła się ruszać, i cały czas się wierciła. Ale w końcu udało się i artystka zrobiła dziewczynce zdjęcie. To zdjęcie położyła obok zdjęcia lalki. Popatrzyły razem z Franką i... Wiecie, co się okazało? Lalka i Franciszka miały nie tylko takie same kwiaty we włosach, ale były też tak samo wysokie. Miały jednakowe brzuchy, i jednakowe nogi, i we wszystkich innych szczegółach były bardzo, bardzo do siebie podobne...



— Tato, czy każda mama wie, jak będzie wyglądać jej córka za pięć lat? — zapytałam. — A jak ja będę wyglądała?

— Hmm... — zamyślił się tata, a może nawet ziewnął. — Chyba musisz zapytać o to mamę...

— A dlaczego ta artystka wiedziała?

Tata znowu się zamyślił albo może już powoli zasypiał, ale cicho powiedział jeszcze coś skomplikowanego:

— Artystki widzą czasem więcej niż inni ludzie, i dlatego właśnie są artystkami...

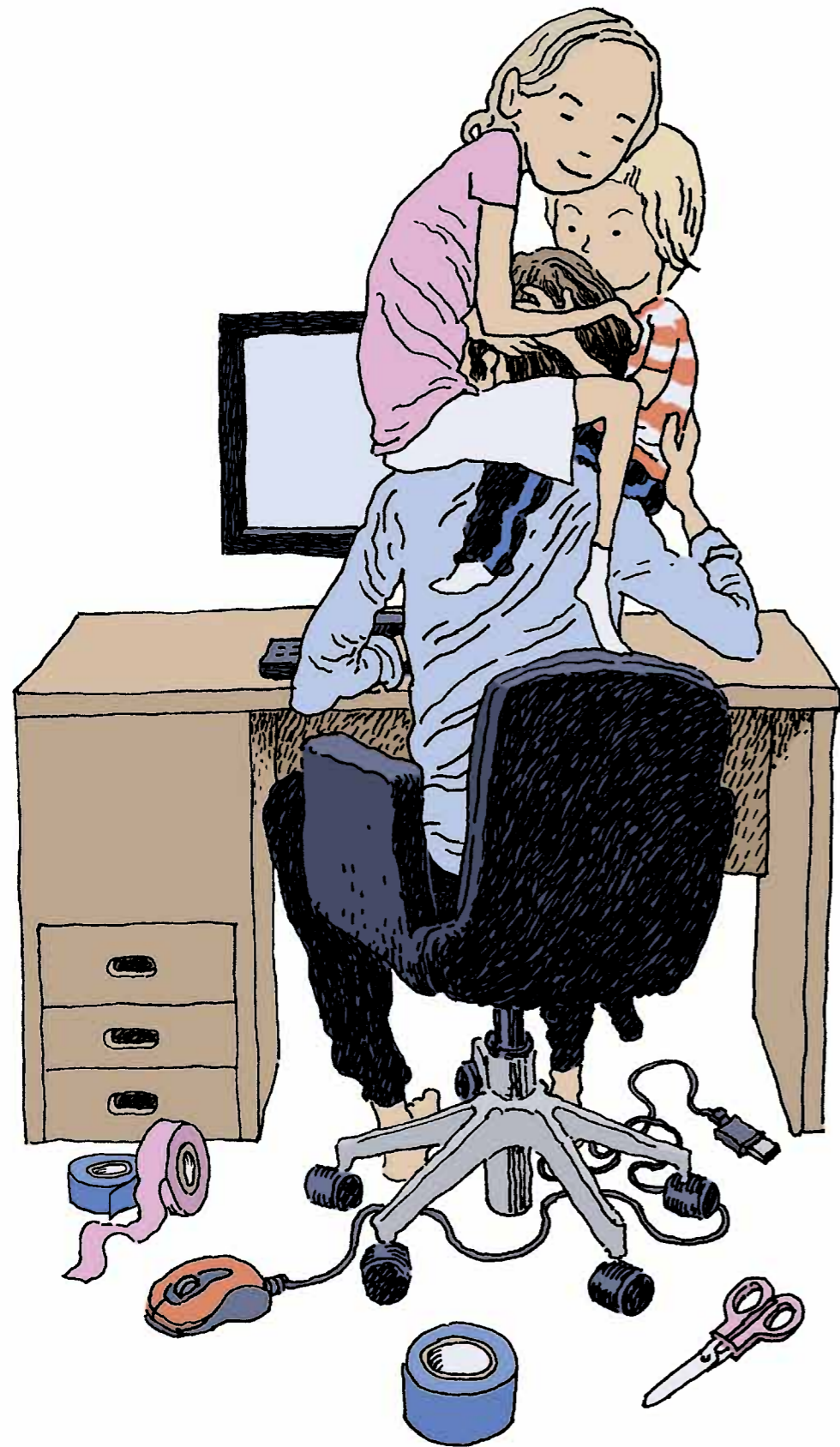
W naszym pokoju było całkiem ciemno. Może i tonął on właśnie w mrokach, ale z Bartkiem wyraźnie widzieliśmy, jak tata zasypia, a na podłodze i ścianie za nim rozkłada się długi, czarny cień...

— Tato, a czy te białe lalki też miały swoje cienie? Białe czy czarne? — dopytywał się jeszcze Bartek.

Ale zamiast taty odpowiedziało mu już tylko miłe, ciche chrapanie.

ANETA GRZESZYKOWSKA jest artystką, która często fotografuje siebie. Na tych zdjęciach za każdym razem wygląda jednak inaczej — przebiera się za różne znane artystki albo robi różne rzeczy na odwrót. Na przykład — smaruje całą twarz czerwoną szminką albo maluje całe ciało na czarno. Czasem znika ze zdjęć w ogóle i zostaje po niej tylko puste miejsce na fotografii. Kiedy była dziewczynką, śpiewała w dziecięcym zespole i ćwiczyła gimnastykę artystyczną. Może dlatego tak dobrze wychodzą jej sztuczki z własnym ciałem. Aneta jest trochę jak czarodziejka, która najbardziej lubi robić to, co wydaje się wszystkim niemożliwe. Zamówiła nawet wykonanie swojego sobowtóra. Kiedy zmęczy ją przebieranie się i czarowanie, szyje duże wełniane lalki, które wyglądają jak najprawdziwsze małe dziewczynki.





Niebieski pasek

Mama powiedziała, że musi wyjść po sprawunki. Bartek, gdy tylko to usłyszał, pobiegł do przedpokoju:

— Mamo, kupisz mi taśmę? Proszę...

— Bartek, przecież wczoraj ci kupiłam, co się z nią stało?
— zdziwiła się mama.

— Już ją zużyłem, potrzebuję nowej taśmy!

To była prawda. Mama przyniosła nam wczoraj dwie taśmy: jedną dla mnie, drugą dla Bartka. Bartek od razu okleił nią wszystkie swoje samochody.

— Może znajdziesz sobie na razie jakieś inne zajęcie...

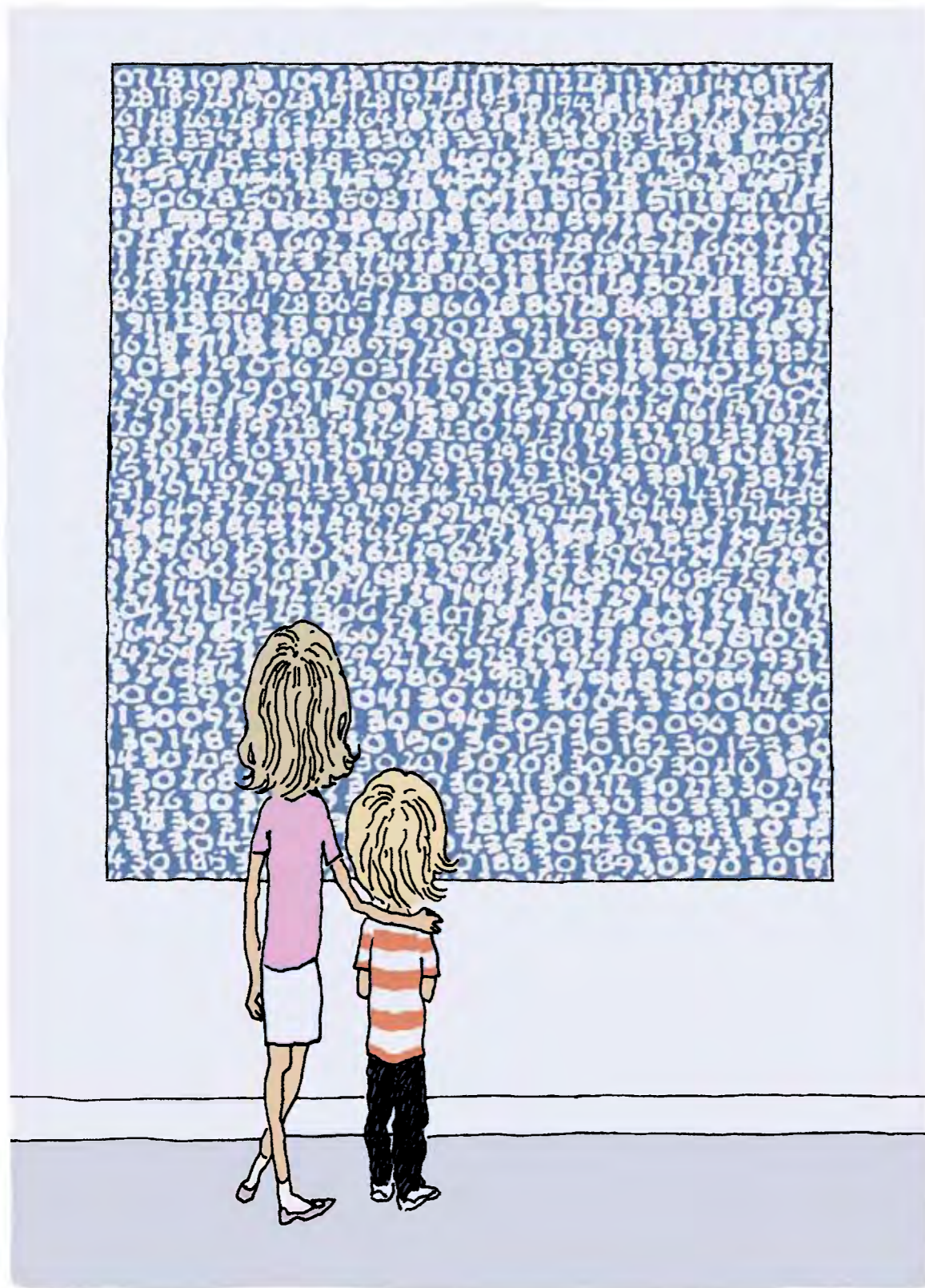
— westchnęła mama. — Bądźcie grzeczni, tata się z wami pobawi — dodała i wyszła.

Tata, jak zwykle, siedział przy swoim biurku i bawił się komputerem. Bartek wdrapał mu się na kolana, a ja na plecy.

— Tato, mama wyszła, musisz się z nami pobawić!
— krzyknęłam mu dokładnie do ucha.
— No dobrze... — tata powoli odsunął się razem z fotelem od biurka. — Tylko proszę, zejdźcie ze mnie.
— Tato, pogramy znowu w trudne wyrazy? — zapytałam, bo bardzo lubiłam tę zabawę. Tata zawsze wymyślał bardzo śmieszne słowa.
— No dobrze... — powtórzył tata i się zamyślił. — W takim razie... Kto to powtórzy: artysta kon-cep-tu-al-ny...
— Co?! Artysta jaki? — pierwszy raz coś takiego słyszałam.
— Tato, to są przecież dwa wyrazy, a miał być jeden!
— No tak, dwa — zgodził się tata — ale tylko jeden jest trudny.
— Który jest trudny? — zdziwił się Bartek, który nic nie zrozumiał z tego, co powiedział tata.
— No przecież wiadomo! Wiadomo, że artysta to nic trudnego — próbowałam wyjaśnić bratu.
— O, „artysta” to może prosty wyraz, ale trudny zawód — powiedział tata. — A co dopiero artysta konceptualny.
— Jaki? Kon-ce-pta-lnu-jaki? — próbowałam powtórzyć, ale to było bardzo trudne.
— Kon-cep-tu-al-ny — jeszcze raz powiedział tata.
— A co to w ogóle za artysta? Czy on ma tak na nazwisko? — zapytałam.
— Nie, to nie jest nazwisko. Artysta konceptualny to taki artysta, który... — tata znowu się zamyślił — który interesuje się tym, czego nie widać. Taki artysta nie maluje obrazów ani nie robi rzeźb, tylko siedzi i myśli. Myśli, myśli, aż wymyśli, jak można inaczej pokazać świat — bez malowania, rysowania albo rzeźbienia.

— Na przykład jak, tato?
— Na przykład..., na przykład... zamiast rysować zegar, można po prostu liczyć.
— Liczyć? — zdziwiłam się.
— No tak, liczyć. Był taki jeden artysta, który cały czas liczył... — tata zaczął opowiadać. — ...liczył i malował kolejne liczby na obrazie. Jeden, dwa, trzy, cztery... jedenaście, dwanaście, trzynaście... i tak dalej, aż do czterdziestu tysięcy, bo tyle się zmieściło na jednym obrazie. A wtedy zaczął kolejny i liczył dalej...





— Cały czas liczył? Ale co on liczył? Czy on nie mógł zasnąć?

— Po prostu liczył. I w ten sposób pokazywał, jak upływa czas — wyjaśnił tata.

— Ja też chcę liczyć! — zawołał Bartek. — Będę liczyć, aż przyjdzie mama!

— Świetnie, tylko czy ty na pewno umiesz liczyć? — zapytał tata.

— Umie! — zdenerwował się Bartek i od razu zaczął liczyć:

— Raz, dwa, dwa, dwa...

Zaśmialiśmy się, ale Bartek się nie przejmował i liczył dalej:

— Dwa, dwa, dwa...

— Tato, przecież on nie umie liczyć! — nie mogłam przestać się śmiać.

— Umie! — upierał się Bartek. — Dwa, dwa, dwa...

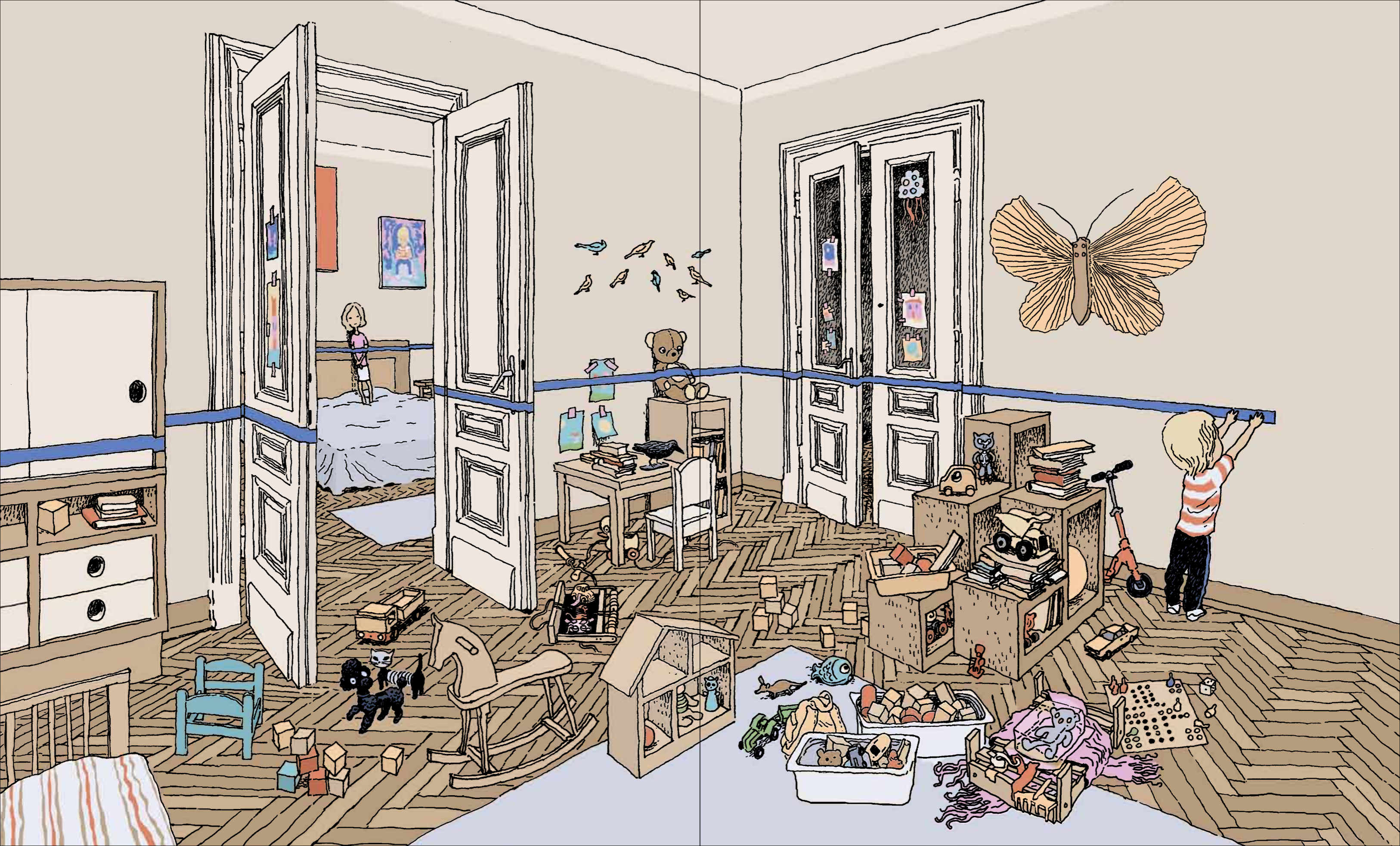
— W porządku — tata próbował nas uspokoić — każdy może być artystą i każdy może mierzyć czas po swojemu.

— Dwa, dwa, dwa, dwa... — Bartek nie przestawał liczyć, a ja pomyślałam, że to wreszcie świetna okazja, żeby pobawić się z tatą.

— Tato, a co innego może jeszcze robić taki artysta kon..., kon...?

— Artysta konceptualny. Może po swojemu mierzyć czas, a może też po swojemu oznaczać różne miejsca. Na przykład zamiast malować widok swojego pokoju albo zamiast wieszać jakiś obraz w galerii, może po prostu nakleić na ścianie niebieski pasek.

— Niebieski pasek?



— Tak — tata się ożywił. — Zawsze taki sam niebieski pasek i zawsze na takiej samej wysokości. Cienki pasek niebieskiej taśmy samoprzylepnej. Był artysta, który tak robił. Naklejał niebieski pasek: na ścianach w galeriach i muzeach, na drzewach, w swojej ulubionej kawiarni, we własnym mieszkaniu, na swoich obrazach wiszących na ścianie...

— Wszędzie naklejał niebieską taśmę? Naprawdę, tato?
— pomyślałam, że tata ze mnie żartuje.

— Zupełnie poważnie — odpowiedział tata z zupełnie poważną miną. — Taki niebieski pasek to magiczna rzecz; gdzie się pojawi, od razu zwraca na siebie uwagę. I na miejsce, w którym został naklejony.

— Tato, a na jakiej wysokości on naklejał ten pasek?

— Mniej więcej dziesięć centymetrów nad twoją głową czyli sto trzydzieści centymetrów nad ziemią.

— A dlaczego tak? — zdziwiłam się. — Żeby dzieci go nie dosięgnęły?

Tata się zaśmiał.

— Tak naprawdę to nie wiadomo, bo niebieski pasek jest trochę tajemniczy...

Bartek nagle przestał liczyć i zapytał:

— I ta niebieska taśma do wszystkiego się przykleja?!

— To musi mieć jakiś bardzo mocny klej — zauważyłam.

Tata znowu uśmiechnął się i powiedział:

— Nie klej jest ważny, tylko wola artysty. To artysta decyduje, gdzie ten pasek ma być. Najpierw trzeba mieć na to dobry pomysł, sam klej nie wystarczy.

— Ja chcę taką taśmę! — zawołał Bartek i pobiegł do drzwi, bo właśnie wróciła mama. — Mamo, czy kupiłaś mi niebieską taśmę?



— Niebieską? — zdziwiła się mama. — Myślałam, że chciałeś przezroczystą, taką jak ostatnio.

— Nie! Chcę niebieski pasek. Nie-bie-ski! Taki, co się wszędzie przykleja, wszędzie, gdzie ja chcę!

— Tato! — złapałam tatę za rękę, bo właśnie próbował z powrotem przysunąć się do swojego komputera. — A ja wcale nie chcę niebieskiej taśmy! Czy można mieć swój własny pasek w jakimś innym, ładnym kolorze? Na przykład różowym? Albo fioletowym?

— Oczywiście, Matyldo, każdy może mieć swój własny pasek, w dodatku ten pasek nie musi być wcale paskiem — odpowiedziała tata. — Możesz wymyślić coś zupełnie innego, własnego.

Pomyślałam od razu, że to wspaniale być taką artystką,

która siedzi i wymyśla sobie różne rzeczy. Okazało się jednak, że to wymyślanie wcale nie jest takie proste. Zanim przyszedł mi do głowy jakiś dobry pomysł, rodzice już kazali nam iść się myć.

— Jeszcze nie! — krzyczał Bartek. — Muszę najpierw policzyć! Raz, dwa, dwa, dwa...

— Mamo — zapytałam — a jeśli zostanę artystką koncepcyjną, to będę mogła wymyślić coś zamiast mycia?

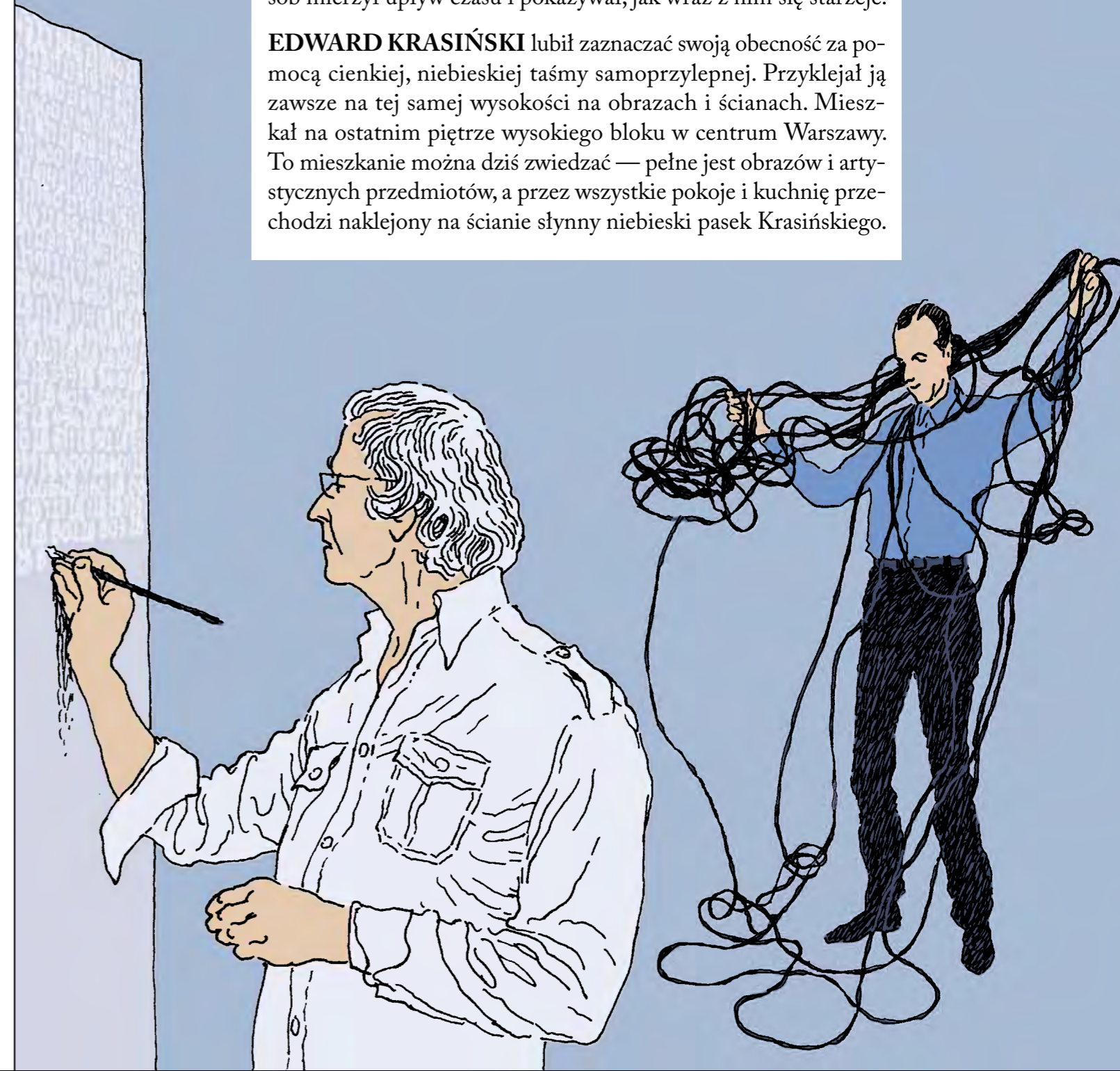
Mama się zaśmiała.

— Wszystko można wymyślić, córeczko, ale niekoniecznie trzeba to od razu wprowadzać w życie. Kupię wam jutro te kolorowe taśmy.

Bartek z radości przestał liczyć i poszliśmy do łazienki. A już jutro zamiast wody nakleimy w wannie niebieski pasek!

ROMAN OPAŁKA malował *Obrazy liczone*, czyli obrazy, na których zapisywał w równych rzędach kolejne liczby. Zaczął od jednego i przez 46 lat liczenia doszedł do ponad 5 600 000. Cyfry malował białą farbą na szarym tle, które w każdym kolejnym obrazie trochę rozjaśniał. Malując, liczył i nagrywał swój głos, a po namalowaniu każdego obrazu robił sobie zdjęcie. W ten sposób mierzył upływ czasu i pokazywał, jak wraz z nim się starzeje.

EDWARD KRASIŃSKI lubił zaznaczać swoją obecność za pomocą cienkiej, niebieskiej taśmy samoprzylepnej. Przyklejał ją zawsze na tej samej wysokości na obrazach i ścianach. Mieszkał na ostatnim piętrze wysokiego bloku w centrum Warszawy. To mieszkanie można dziś zwiedzać — pełne jest obrazów i artystycznych przedmiotów, a przez wszystkie pokoje i kuchnię przechodzi naklejony na ścianie słynny niebieski pasek Krasińskiego.





Ziemniaki w galerii

Podobno jest już zima. Tak powiedzieli rodzice, chociaż śnieg wcale jeszcze nie spadł. Zrobiło się za to bardzo zimno. Na chodniku przed naszym domem wszystkie kałuże zamrzły i zamieniły się w małe lodowiska. Razem z Bartkiem od razu zaczęliśmy się na nich ślizgać. Któregoś razu przechodził obok nas starszy pan, zatrzymał się, popatrzył, jak Bartek robi ślizg, i powiedział:

— Uważaj, bo się wywrócisz!

— Wcale że nie! — krzyknął Bartek i pobiegł do następnej ślizgawki.

Wziął rozbieg, ale zamiast przejechać po zamrzniętej kałuży, potknął się i prawie się przewrócił.

— Matyllda, ktoś popsuł ślizgawkę! — zawołał.

Pobiegłam do niego. Rzeczywiście, ta kałuża — chociaż zamrznięta — wcale nie była śliska. Lód był posypany piaskiem.

— Mamo! Ktoś popsuł ślizgawkę! — zawołałam.

Mama podeszła i powiedziała:

— Nie popsuł, tylko posypał piaskiem, żeby nikt się nie przewrócił.

— Ale my się nie przewrócimy, my umiemy się ślizgać!

— Słuchajcie — tata chwycił Bartka za rękę i kucnął przy nas — dla was to są ślizgawki, ale dla innych to jest lód na chodniku, na którym można upaść i złamać rękę albo nogę. Proszę was, żebyście się tu nie ślizgali. Jeśli znajdziemy lód na placu zabaw, to tam się poślizgamy. Chodźmy!

— A na placu zabaw nie łamie się rąk i nóg? — zapytał Bartek.

— Też można je złamać, trzeba uważać, ale to jest właściwe miejsce do zabawy.

— A co to znaczy „właściwe miejsce”? — znowu zapytał Bartek.



— Właściwe miejsce... — tata się zamyślił — ...to takie miejsce, do którego pasuje to, co chcesz zrobić. Na przykład myjesz się w łazience, śpisz w łóżku...

— A nie śpisz w przedszkolu! W przedszkolu się bawisz — dodałam.

— No tak... — tata się uśmiechnął. — A obrazy oglądasz w muzeum...

— A ziemniaki obierasz w kuchni! — zawołałam.

— Nie obieram ziemniaków! — zdenerwował się Bartek.

— Nie obierasz, bo jesteś za mały, jak będziesz mieć tyle lat co ja, to też będziesz obierać — wyjaśniłam. — Prawda, tato?

— Oczywiście — tata pokiwał głową, ale Bartek wcale się nie uspokoił.

— Nie chcę obierać ziemniaków! — krzyknął.

— Musisz, nikt za ciebie nie będzie obierał — odpowiedziałam. — Tato, a co się dzieje, jak się robi jakieś rzeczy w niewłaściwym miejscu?





— Ooo... Wtedy może się wydarzyć dużo różnych i niekoniecznie dobrych rzeczy...

— A jak się obiera ziemniaki w muzeum?! — wykrzyknął nagle Bartek.

Tata zatrzymał się na chwilę.

— A wiesz, że Julita Wójcik obierała kiedyś ziemniaki w galerii?

— Kto to jest Julita Wójcik? — zapytaliśmy z Bartkiem jednocześnie.

— Artystka. Miała kiedyś wystawę w galerii Zachęta w Warszawie. Na otwarciu tej wystawy przyszło sporo osób. Patrzą, a cała wielka sala jest pusta. Tylko na środku, na taborecie, siedzi Julita i obiera ziemniaki.

— Tato, a czy to były prawdziwe ziemniaki? — zapytałam.

— Tak.

— A dlaczego ta Julita obierała ziemniaki w galerii?

— Bo artyści lubią robić różne rzeczy inaczej niż wszyscy.

— I co, tato?

— I wiele osób było bardzo zdenerwowanych, że na wystawie nie ma rzeźb ani obrazów, tylko ktoś obiera ziemniaki. Bo przecież ziemniaki obiera się w kuchni.

— I zabronili jej obierać ziemniaki w tej galerii?

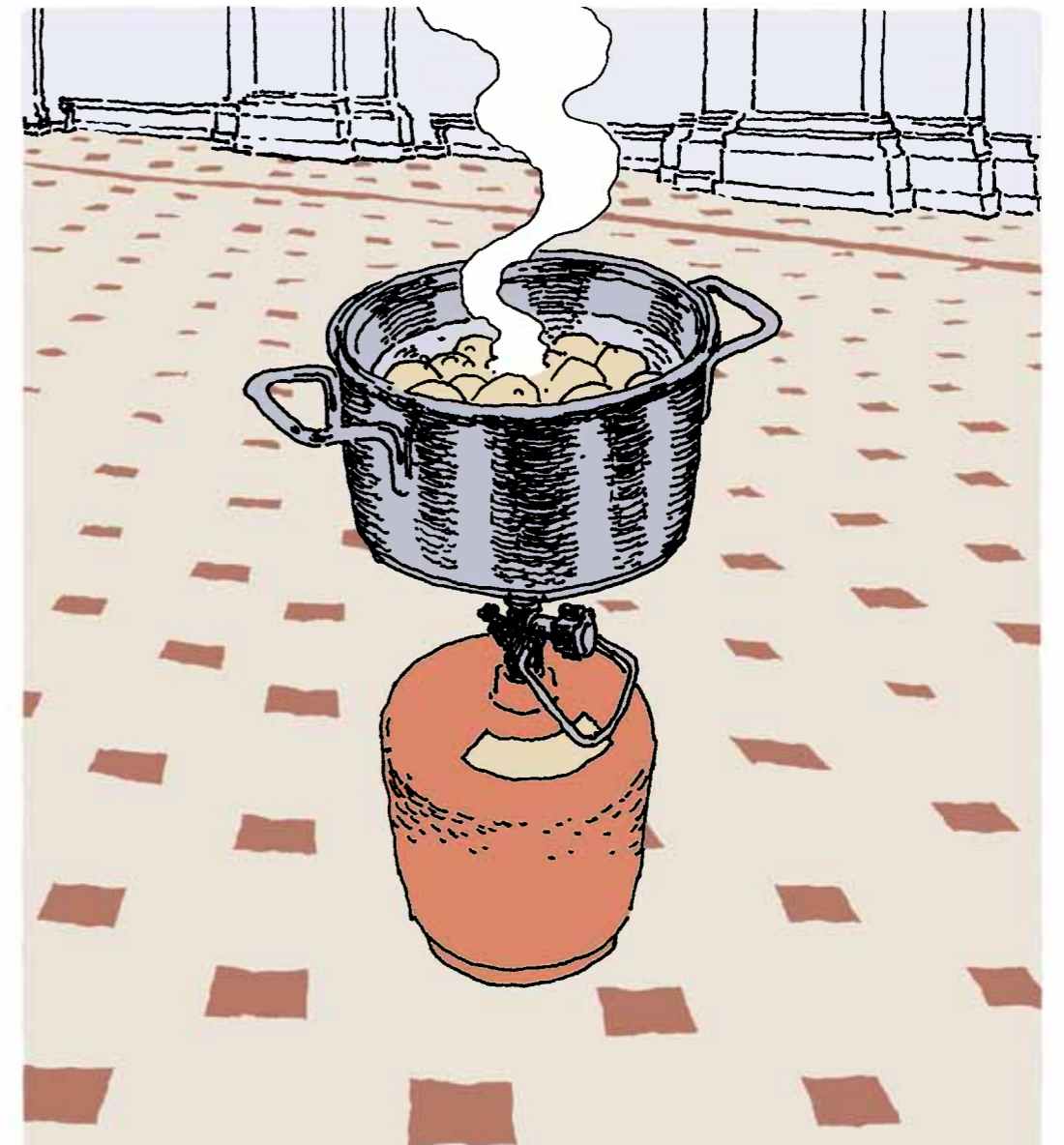
— Nie, nie zabronili, przeciwnie. Dyrektorka galerii pomagała nawet Julicie je obierać.

— Bo tak dużo było tych ziemniaków?

— Ziemniaków było dużo i było dużo ludzi, którzy się przyglądali Julicie, ale nikt nie chciał jej pomóc.

— A po co jej były te ziemniaki?

— Myślę, że nie były jej w ogóle potrzebne. Obierała je tylko po to, żeby pokazać, że w galerii można robić coś bardzo



zwyczajnego. I że jeśli zwyczajną, domową czynność wykona się w galerii, to przestaje być zwyczajna. Może wtedy też zupełnie co innego znaczyć. Podobnie jak z zamarzną kałużą: dla starszych to niebezpieczne miejsce na chodniku, a dla was to świetna ślizgawka.

— Ślizgawki wcale nie są niebezpieczne! — oburzył się Bartek, rozpedził się i zrobił długi ślizg po kałuży, obok której właśnie przechodziliśmy.

A mnie od tych ziemniaków w galerii odechciało się ślizgania.

— Tato, ale co myślała Julita, jak obierała te ziemniaki?

— Może zastanawiała się, dlaczego nikt wcześniej nie obierał ziemniaków w galerii, skoro prawie wszyscy je codziennie jedzą?

— Dlaczego, tato?

— Może ludzie uważają, że malowanie obrazów jest ważniejsze niż obieranie ziemniaków?

— Tato, ale jeśli nie obierzemy i nie ugotujemy ziemniaków, to będziemy głodni!

— No właśnie, ale kiedyś było tak, że malowaniem obrazów zajmowali się głównie mężczyźni, a obieraniem i gotowaniem ziemniaków kobiety...

— To kobiety nie malowały obrazów?

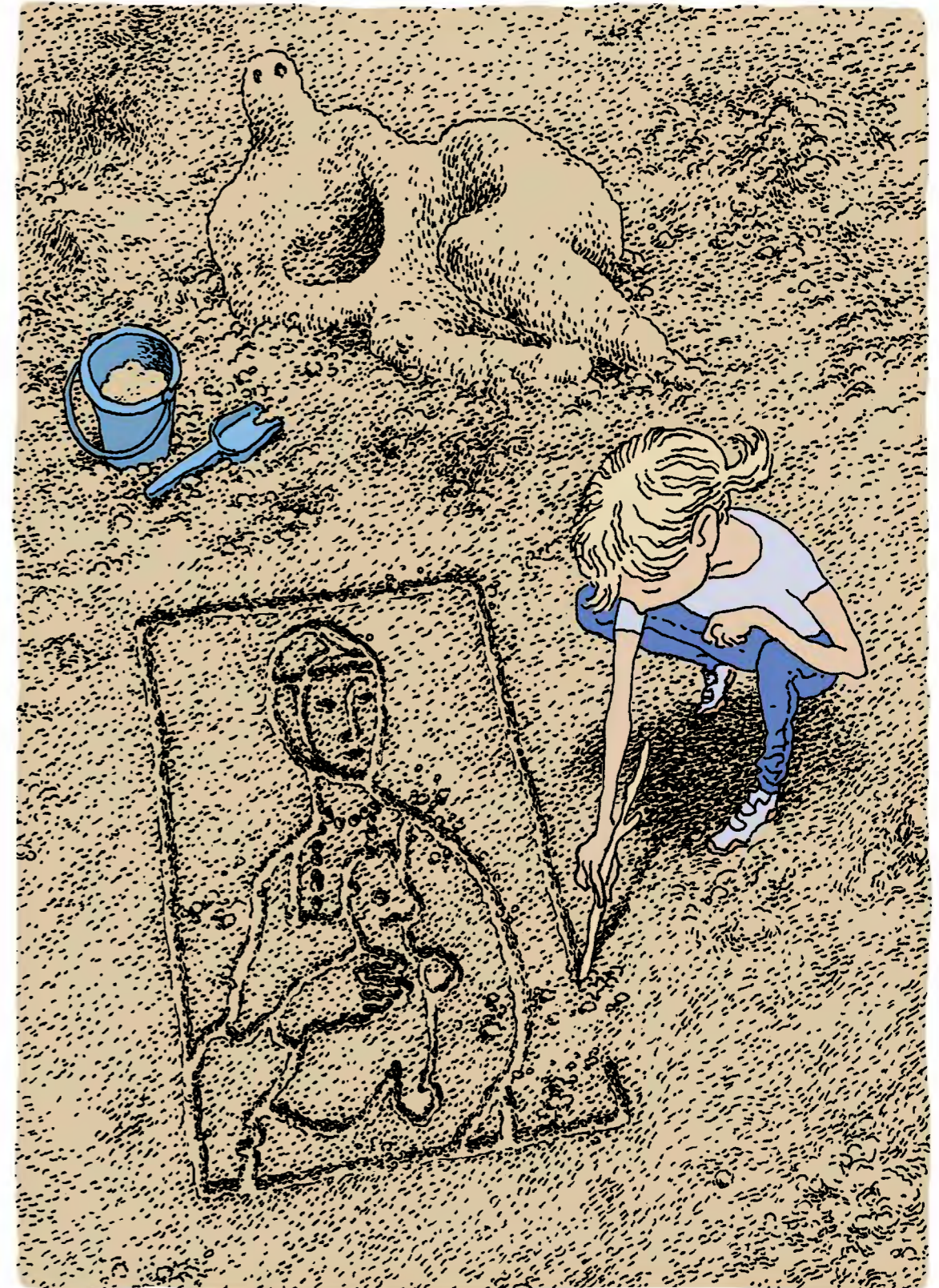
— Nie malowały, bo nie miały czasu, musiały obierać ziemniaki — szybko dopowiedziała mama.

— To głupie! Przecież mężczyźni też mogli obierać ziemniaki! Wtedy kobiety miałyby czas na malowanie.

— Masz rację. I dlatego Julita postanowiła obierać ziemniaki w galerii.

— Żeby zrobić na złość mężczyznom?

— Nie na złość, ale żeby pokazać, że czasem najtrudniejsze są najprostsze sprawy. I że nie wystarczy podziwiać artystów, trzeba też szanować wszystkich ludzi. Nieważne, jak zwyczajne rzeczy wykonują — odpowiedziała mama.



— A wiecie, co powiedziała Tola?

— A kto to jest Tola? — zapytał tata.

— No, Tola, moja koleżanka z placu zabaw. Tola powiedziała, że wszystkie dzieci są artystami, bo rysują, malują albo lepią rzeźby z plasteliny. Tylko niektóre później z tego wyrastają.

— O, to mądrze powiedziała.

— A czy my z Bartkiem nie wyrośniemy z tego?

— To już zależy tylko od was — odpowiedziała mama.

— A co trzeba zrobić, żeby nie wyrosnąć? Trzeba obierać ziemniaki? A można ślizgać się na ślizgawkach?

— Jeśli zaczniecie się nad tym poważnie zastanawiać, to na pewno nie wyrosiecie — powiedział tata i uśmiechnął się tajemniczo.

— A na razie możecie na poważnie zająć się zabawą

— dodała mama.

Doszliśmy właśnie do placu zabaw. Tola już tam była. Od razu zaczęliśmy się bawić w artystki. Bartek udawał mężczyznę z dawnych czasów, bo chodził za nami cały czas i powtarzał:

— Prawdziwe artystki się nie ślizgają, prawdziwe artystki się nie huśtają!

A my z Tolą śmiałyśmy się z tego. Dopóki mężczyzna nie zacznie obierać ziemniaków, nie zrozumie prawdziwych artystek!

JULITA WÓJCIK często udaje, że nie jest artystką. W galeriach i muzeach wykonuje zwyczajne, domowe czynności: obiera ziemniaki lub robi na drutach. Kiedyś namówiła nawet panią pilnującą wystawy do zrobienia na drutach serwety w białe owieczki. Sama artystka wydziergała z włóczki blok, w którym kiedyś mieszkała. Innego razu przed wejściem do warszawskiej Zachęty ustawiła karmnik w kształcie budynku galerii. Julita najbardziej lubi pracować na dworze — w kilku miastach założyła własne ogródki uliczne. Jej najbardziej znanym dziełem jest wielka tęcza, którą wspólnie z setkami pomocników zbudowała z tysięcy plastikowych kwiatów. Ta tęcza, która przez kilka lat stała na placu Zbawiciela w Warszawie, jest znakiem równości, czyli tego, że wszyscy powinniśmy się nawzajem szanować oraz sprawiedliwie dzielić prawami i obowiązkami.



Spis rzeczy

Do góry nogami5
Film, który można oglądać wszędzie.	15
Przed kim chowają się dorośli?	27
Bałwan w lodówce	39
Autobus z fikołkami	53
Niepotrzebne zabawki	65
Ciasteczka z Chińskiego Muru.	79
O artystce, która uszyła sobie córkę.	91
Niebieski pasek	103
Ziemniaki w galerii.	115

Fundacja Sztuki Polskiej ING

Dzieła kolekcjonują nie tylko muzea czy zainteresowani sztuką ludzie, robią to także instytucje, na przykład banki. Jednym z nich jest ING Bank Śląski. W 2000 roku jego pracownicy założyli Fundację Sztuki Polskiej ING. Fundacja zbiera prace współczesnych polskich artystów, między innymi tych, którzy pojawiają się na kartach *Bakwana w lodówce*. Na co dzień dzieła te wiszą w biurach banku i dzięki nim bankowe korytarze wyglądają trochę jak muzea sztuki nowoczesnej. Fundacja wydaje również książki o artystkach i artystach. Organizuje także wystawy, dyskusje, wykłady dla studentów oraz warsztaty dla dzieci. Bank finansuje działania Fundacji, bo wierzy, że sztuka jest bardzo istotna dla ludzi i kraju, w którym żyją.

Podziękowania

Dziękujemy bardzo Zosi, Jurkowi, Zoi, Maksowi, Tytusowi, Toli, Mundkowi i wszystkim innym dzieciom, które brały udział w pracy nad naszą książką, oraz Wydawnictwu Dwie Siostry za pomoc i konsultacje przy przygotowaniu publikacji.

Kolofon

Tekst: Łukasz Gorczyca

Ilustracje: Krzysztof Gawronkiewicz

Redaktorka prowadząca: Kamila Bondar

Redakcja: Ewelina Moroń

Korekta: Joanna Baranowska

Projekt graficzny i skład: Błażej Pindor

Druk i oprawa: Drukarnia Perfekt

Wydanie I

ISBN 978-83-931382-3-4

© Fundacja Sztuki Polskiej ING 2017

Wydawca:

Fundacja Sztuki Polskiej ING

ul. Puławska 2, 02-566 Warszawa

fundacja@ingart.pl

www.ingart.pl

Dystrybucja:

Wydawnictwo Dwie Siostry sp. z o.o.

al. 3 Maja 2 m. 183

00-391 Warszawa

dział handlowy: tel. (+48) 881 360 800

e-mail: handlowy@wydawnictwodwiesiostry.pl